

245 / 3

# Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

## Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3

Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . . rb. 6 kop. —

Półrocznie (za 26 tomów) . . . rb. 3 kop. —

Kwartalnie (za 13 tomów) . . . rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

---

---

Redakcja i Administracja Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88,  
we Lwowie, Plac Maryacki L 4.

---

---

DRUK EDWARDA NICZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70.

*11. Chłmowski*  
№ 469.

# Biblioteka Dzieł Wyborowych.

---

JERZY KENNAN.

---

# SYBERYA

PRZEŁOŻYŁ K. Ł.

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

==== CZĘŚĆ III. ====

Cena 40 kop.

W prenum. 30<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja Warecka 14.

1907  
<http://rcin.org.pl>



*Przełożył na. ino*  
398/51

**JERZY KENNAN.**

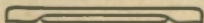


# SYBERYA

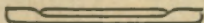
PRZEŁOŻYŁ K. L.

z przedmową

**Zdzisława Dębickiego.**



**CZĘŚĆ III.**



CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55  
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149777

WARSZAWA  
DRUKARNIA ED. NICZ | S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.

1907.  
<http://rcin.org.pl>



245

NH-41698/15  
AkC/K/398/51

## 1. Zesłańcy w Irkucku.

---

Podróż z Tomska do Irkucka utrudziła nas, pod pewnym względem, jeszcze więcej, niż droga z Tiumenta do gór Altajskich. Drogi stały się wskutek nieustającego deszczu prawie nie do przebycia; wstrząśnienia pojazdu przyprawiały nas o silne bóle głowy i przeszkadzały do drzemki; na stacjach pocztowych nie dostawaliśmy żadnego pożywnego pokarmu, często nawet niczego ciepłego; byliśmy dalej dręczeni przez robactwo, które wywoziliśmy na sobie po noclegach w domach etapowych i innych miejscach, i prócz tego odczuwaliśmy dotkliwie, zwłaszcza w nocy, zimno, ponieważ nie mogliśmy się jeszcze dostatecznie zaopatrzyć w ciepłą odzież. Ale po nad wszystko dręczyło nas robactwo, jak najcięższa plaga; głód, bezsenność, zimno mogłem znosić cierpliwie, ale nie móż się pozbyć pcheł, wszów i pluskiew—to działało przygnębiająco na mój umysł, w pewnej mierze odczuwałem wstyd przed sobą samym. Wszędzie się to gnieździło,

w odzieży i poduszkach, w szczelinach i fałdach skóry naszego pojazdu i wszelkie usiłowania, by się uwolnić od tego, były bezplodne. Poddałem się więc konieczności. Całe cztery miesiące ciągnęła się ta męka i gdy po naszej dziewięciodniowej jeździe z Krasnojarska do Irkucka mogłem się wreszcie w tym ostatnim po raz pierwszy przebrać, ujrzałem dopiero, jak srogo ucierpiało moje ciało; wyglądało tak, jak, gdybym dostał jakiej wysypki. Czytelnik raczy mi dobrotliwie przebaczyć te nieestetyczne wynurzenia, chciałem przez to tylko zaznaczyć, jakie następstwa ciągnie za sobą i w tym kierunku życie na etapach i zesłanie na Syberyę i jak ciężko musi być coś podobnego odczuwać wykształconemu człowiekowi.

Około połowy września pogoda na koniec stała się przyjaźniejszą; w kierunku południowo-wschodnim ujrzelśmy w oddali śnieżne szczyty góry Tunka, które rozciągają się w pobliżu jeziora Bajkału, na granicy Mongolii i wywnioskowaliśmy ztąd, że znajdujemy się w niewielkiej odległości od Irkucka.

W niedzielę rano, 13 września, przyjechaliśmy po dobrej drodze na brzegi bystrej Angary. Naokoło rozciągały się dobrze uprawne pola, które pozwalały się spodziewać istnienia w pobliżu więcej zaludnionej miejscowości. O drugiej popołudniu przybyliśmy do ostatniej stacyi pocztowej, gdzie nastąpiła zmiana koni. W oczekiwaniu, że jesteśmy już niedaleko od celu, gdzie czeka na nas wypoczynek, sen i pewne wygody, gdzie spodziewaliśmy się zastać listy z ojczyzny, weszliśmy do pokoju poczekalnego i znaleźliśmy na ścianie oznaczone interesujące nas in-



formacye i cytry: „Stacya pocztowa Bokowskaja. Odległość od Petersburga 5,601 wiorst. Odległość od Irkucka 13 wiorst.“ Znaczenie tej różnicy cyfr może odczuć tylko ten, kto przebył w Rosyi 5,601 wiorst i tylko o 13 wiorst oddalony jest od celu.

Po zmianie koni jechaliśmy wzdłuż rzeki, często wypatrując czy nie ukazują się w oddali wyzłoczone kopuły katedry irkuckiej. W ciągu osiemnastu lat, jakie ubiegły od mego ostatniego pobytu w Irkucku, cerkiew zgorzała i została potem odbudowana na nowo, ale obawiałem się, że powstała napowrót w swej oryginalnej piękności. Prawie w połowie drogi minęliśmy klasztor Wozniesiensk, przed którego bramą stał tłum zabłoconych i obdartych pielgrzymów; nieco dalej spotkaliśmy żołnierzy, bez broni, kramarzy i gawiedź wszelkiego rodzaju. Spędzili oni niedzielę w mieście i powracali do swoich wsi, położonych w pobliżu miasta. Większość ich była pijana, co mogła wyjaśnić, chociaż nie usprawiedliwić mnogość szynków, znajdujących się przy drodze.

Przebyliśmy na promie rzekę Angarę i wkrótce znaleźliśmy się na ulicach Irkucka. Doznałem rozozarowania!

Z tamtego brzegu rzeki w swem obramowaniu z zieleni przedstawia miasto ze swemi błyszczącemi kopułami i jasnemi dzwonicami widok wschodniego, ludnego siedliska, gdy po znalezieniu się na jego ulicach widać, że jest to wprawdzie wielkie, zamieszkałe i ruchliwe miasto prowincjonalne rosyjskie, ale także zbudowane nieprawidłowo, pozbawione wszelkiego wdzięku. W nowym kosztownie wznie-

sionym „Moskiewskim Dworze”, jak również w hotelu „Syberya” znaleźliśmy wszystkie pokoje zajęte, udaliśmy się zatem do hotelu „Deko”, gdzie znużeni wzięliśmy przede wszystkim kąpiel, poczem posililiśmy się, a wreszcie udaliśmy się zaraz na spacer.

W poniedziałek posłaliśmy nasze pasporty do policji.

Przyjaciel Frost udał się nad rzekę, aby zrobić tam kilka szkiców, ja zaś włóczyłem się po mieście w nadziei odnalezienia pewnego zesłańca, do którego miałem list polecający.

Irkuck leży na prawym brzegu rzeki Angary w odległości 65 kilometrów od ujścia tejże do jeziora Bajkału. Miasto miało wtedy 36,000 mieszkańców i było największem w całej Syberji. Posiadało ono dobrze prowadzoną gazetę „Sybir”, która później została przez rząd zawieszona; dobry teatr, bibliotekę publiczną, towarzystwo geograficzne i około trzydziestu zakładów naukowych. Obrót jego roczny handlowy dosięgał przeciętnie jedenastu milionów rubli.

Od czasu wielkiego pożaru w lipcu 1879 r., który zniszczył więcej, niż połowę miasta, nie podniosło się ono jeszcze zupełnie. W wielu miejscach widać było jeszcze ślady siły niszczącej i nowe budowle nie wywierały wrażenia gruntownie zbudowanych, tak, iż wskazywać się zdawały raczej na świeżo powstałe siedlisko, niż na miasto, którego założenie odnieść należy do 1662 roku. Wedle mego zdania Irkuck od 1867 r., gdy, jak wyżej było wspomniane, odwiedzałem to miasto, bardzo wiele

stracił ze swej piękności i siły pociągającej. Jedną z najwięcej interesujących i z zewnętrznego wyglądu najstarszych budowli był znajdujący się w niższej części miasta magazyn prochu, który ocalał, oszczędzony przez ogień. Dach na nim porósł trawą i chwastem, do jego grubych murów tuliły się budy kramarskie, które przez większość godzin dziennych otaczali Buryaci, Mongołowie, kozacy i mużiki, gdyż tutaj można było wyszachrować wszelkie możliwe przedmioty, zarówno tarantas, jak parę starych butów.

Poważawszy się od dwóch do trzech godzin, wręczywszy tu i owdzie me listy polecające, powróciłem do hotelu, gdzie służący załęczniony udzielił mi wiadomości, że naczelnik policyi był tam przed chwilą i rozkazał, abyśmy go natychmiast po powrocie odwiedzili. Ze swej praktyki służący, jak się zdaje, zaczerpnął doświadczenie, że wizyta naczelnika policyi w żadnym razie nie może zwiastować niczego dobrego i chociaż nie pozwolił sobie na zadanie mi żadnego zapytania, spoglądał na mnie pytającym zatrwożonym wzrokiem. W naszym pokoju zastałem dwie karty wizytowe najwyższego urzędnika policyjnego. Przeznaczone było widać nam, byśmy się zapoznali bliżej z tym panem; stał on w związku z jednym z najokropniejszych wypadków, jakie zesłanie wywołuje: ze strajkiem głodowym w więzieniu w Irkucku.

Nie wiedziałem o niczem, co by w naszym postępowaniu mogło obudzić podejrzenia policyi i na próżno starałem się odgadnąć przyczynę tego we-

zwania policyjnego. Miałem jednak za zasadę na każde takie wezwanie stawiać się jaknajspieszniej, pojechałem więc z mister Frostem do mieszkania naczelnika policyi, kapitana Makowskiego; nie zastawszy go, zostawiliśmy nasze karty i pojechaliśmy do urzędu policyjnego, gdzie także go nie było. Uważając, że zrobiliśmy, co do nas należało, powróciłem do hotelu, a Frost wziął się znowu do swych szkiców. Po upływie pół godziny przyszedł znowu służący hotelowy z miną zatroskaną do mego pokoju i przyniósł znowu kartę kapitana Makowskiego. Dwie wizyty w ciągu dwóch godzin — to mnie nieco zadziwiło, ale nie omieszkałem ka-  
 zać poprosić zaraz tego pana.

Kilka szybkich kroków przy brzęku ostróg — i naczelnik policyi stanął przedemną w pełnem umundurowaniu.

Myślałem, że nastąpi jakie nieprzyjemne oświadczenie, że nasze pasporty są nie w porządku, albo będzie mowa o mych stosunkach z zesłańcami politycznymi. Jakże więc się zdziwiłem, gdy przystojny oficer, w średnim wieku, z niebieskimi oczyma, krótko przystrzyżonemi włosami i ciemną brodą spojrział na mnie uprzejmie i pozdrowił słowami:

— Jestem naczelnikiem policyi, Makowskim. Bardzo mnie cieszy, że mogę pana poznać osobiście, gdy już znam pańską książkę o Syberyi. Uważam za swój obowiązek każdego znakomitego podróżnika, który tutaj przybywa, odwiedzić i zaproponować mu swoje usługi.

Byłem mocno zdziwiony tem niespodziewanem powitaniem i zaledwie znalazłem słowa do odpowie-

dzi. Wkrótce zawiązaliśmy ożywioną rozmowę, która miała głównie za przedmiot Syberyę i Irkuck.

— Pan interesował się — zauważył Makowski—bytem więziennym. Sądzę, że pan tutejsze więzienie znajdzie w najlepszym porządku. Przyślę panu kogoś, kto będzie mu towarzyszył i nie zawiadomię o pańskiej wizycie.—Powinien pan to ujrzeć w stanie codziennym.

Podobał mi się ten człowiek.

W ciągu rozmowy zaznaczył on, że system zesłania jest zły, sądzi jednak, że niema żadnych widoków polepszenia. Największą tu przeszkodą jest kwestya pieniężna. Organizacya systemu więziennego w Rosyi Europejskiej już oddawna jest zaprojektowana, ale budowa dwudziestu nowych więzień wymagałaby wydatkowania przynajmniej dziesięciu milionów i sumy tej na cel taki dostać niepodobna.

Tymczasem wrócił i przyjaciel Frost. Kapitan pożegnał się i prosił nas przytem, abyśmy go wkrótce, zupełnie bez ceremonii, odwiedzili.

Gdy wyszedł, rozmyślałem przez chwilę o nim, ale nie mogłem sobie o jego osobistości wyrobić żadnego określonego zdania. Jego pełna uśmiechów uprzejmość, nadmierna grzeczność, miała w sobie coś, jak mi się zdawało, sztucznego.

W środę oddaliśmy mu wizytę i dnia następnego przybył on sam do naszego hotelu, aby towarzyszyć nam przy zwiedzaniu więzienia etapowego i miejskiego; oba znajdowały się po za miastem, po drugiej stronie nędznego strumienia.

Zwiedziliśmy najprzód więzienie etapowe. Była to wielka, zapuszczona budowla z drzewa zbu-

twiałego z rozbitymi i odstającymi szybami w oknach, których szczeliny często zatkałe były szmatami i matami. Palisada, otaczająca podwórze, była zniszczona i zrujnowana. Kapitan Makowski zauważył, że stan ten nie uszedł mego oka i zaznaczył, że żadnych reparacji nie przedsięwzięto, gdyż zamierzono wznieść nowy budynek. Od powzięcia tego projektu—powiedział mimochodem—ubiegły trzy lata i w Irkucku dotąd niema tego budynku.

Przy wejściu podszedł do nas oficer służbowy, pozdrowił nas i zameldował naczelnikowi policyi, że wszystko jest w najlepszym porządku i że więzienie mieści w sobie dnia tego 271 więźniów.

— Dobrze! — rzekł zwierzchnik, kiwnąwszy głową i poszliśmy dalej.

Więzienie było w bardzo złym stanie.

Cele różniły się od tych, jakie widzieliśmy w więzieniu etapowem w Tomsku tylko tem, że mniej były przepelnione. Po większej części były one dość jasne i ogrzewały je wielkie, czworokątne piece, zbudowane z cegieł. Jedyne ich urządzenie stanowiły i tutaj tylko tapczany, pozbawione wszelkiej pościeli. Tu i owdzie zauważyłem zresztą brudne, lekkie kołdry, ale i te prawdopodobnie przynieśli sami więźniowie, wskazywały przynajmniej na to liczne na nich cery i łaty. W pojedynczych celach znajdowało się od dwudziestu do czterdziestu więźniów i zepsute powietrze w nich dowodziło, że były one pozbawione wszelkiej wentylacji. Podłogi były, jeśli zastosujemy miarę czystości syberyjskiej, niezbyt brudne; zapewne na cześć naszych odwiedzin, posypano je białym piaskiem.

Cele męskie były oddzielone od cel kobiet i dzieci. Te ostatnie przedstawiały się nieco lepiej.

Udaliśmy się potem do więzienia miejskiego. Była to wielka dwupiętrowa murowana budowla z dachem blaszanym; podobna była nieco do więzienia etapowego w Tiumeniu, ale podwórze było większe posiadało nieco trawników z kwiatami i wysypanemi żwirem ścieżkami, które mogły służyć do spaceru dla więźniów. Więzienie zbudowano w 1861 r. kosztem 62,000 rubli i przeznaczono je dla 450-ciu więźniów. Podczas naszych odwiedzin mieściło ono ich 743 i naczelnik policyi przyznał, że niekiedy musi ono dawać przytułek i podwójnej takiej liczbie. „Sybir” (1876 r. stronica 210) donosił nawet, że czasem pomieszczają tam do dwóch tysięcy osób, czyli przeszło cztery razy więcej od liczby, dla której pierwotnie więzienie przeznaczono.

Jakie są następstwa podobnego przepelnienia, nie mam potrzeby tu bliżej opisywać, gdyż zrobiem to już wyżej. Jeśli powietrze nie jest tam tak nie do zniesienia jak w więzieniu w Tiumeniu, to jest zawsze dostatecznie złe i wielu więźniów skarżyło się na to przed kapitanem Makowskim i przedemną.

Gorzej jeszcze było w przepelnionym oddziale dla chorych, gdzie mi prawie zrobiło się słabo, chociaż przeszliśmy przez oddział szybko. Jak w większości więzień syberyjskich—i tutaj panującymi chorobami były: tyfus, szkorbut, anemja, reumatyzm

i bronchit. Złe, które wynika z nieprzyjaznych warunków sanitarnych <sup>1)</sup>.

Ze szpitala udaliśmy się przez ogródek do cel „tajnych,” gdzie się znajdowali więźniowie odosobnieni. Dyrektor policyi powiedział, że pozostawia mi swobodę rozmawiania z jednym ze znajdujących się tam więźniów. Słyszałem ja wprawdzie już nieco o tego rodzaju zamknięciu, ale jeszcze nigdy nie

<sup>1)</sup> Sprawozdanie roczne wydziału medycznego ministerjum spraw wewnętrznych z 1884 roku opisuje więzienia i szpitale w Tomsku, Jenisejsku i Irkucku w następujący sposób: Z raportów zarządu lekarskiego widać, że stan sanitarny wielu więzień tak w prowincjach, jak i w okręgach w najwyższym stopniu jest niezadawalający. Większość ich jest ciasna na liczbę pomieszczanych w nich więźniów i w wielu brak jest wszelkiej wentylacji i ustępów, położone są przytem za nisko i stąd wciąż wilgotne. Najmniej przecież są zadawalające więzienia, które znajdują się w prowincji jenisejskiej, tomskiej, irkuckiej i w obwodzie zabajkalskim. W wielu tych szpitalach brak jest rzeczy najpotrzebniejszych, są też zaciasne, by pomieścić wszystkich chorych i niemają ani lekarzy, ani środków lekarskich, ani pielęgniarek.

Sprawozdanie przytacza następujące dane co do stanu sanitarnego w szpitalach więziennych w czterech prowincjach syberyjskich za rok 1884.

Prowincye:	szpitale więziennych	liczba łózek	chorych	zmarłych	procent śmiertelności
Jenisejska	3	145	5175	168	3.2
Irkucka	2	115	1620	99	6.1
Tobolska	10	242	4648	303	6.5
Tomska	3	230	1514	259	16.4



miałem sposobności widzieć takiej osoby w odosobnionej celi. Z naprężoną więc ciekawością udałem się za nim i w końcu podwórza weszliśmy do sieni; kapitan z klucznikiem, idącym za nim, szedł na przód, a ja za nimi. Weszliśmy przez drzwi z kraty żelaznej na długi wążki korytarz, gdzie przechadzał się wartownik przed szeregiem drzwi. Wszystkie one były zaopatrzone w kłódki wiszące i miały czworokątne otwory, przez które dostarczano więźniom pożywienia i tych ostatnich wartownik obserwował.

Więzień, którego mieliśmy odwiedzić nazywał się Ferdynand Lustig i służył, jak mi opowiedział Makowski, dawniej jako oficer w armii rosyjskiej. Wkrótce po zamordowaniu cesarza Aleksandra II, w marcu 1881 r., został zaaresztowany i, jako podżegacz, skazany na cztery lata robót ciężkich. Termin ten upłynął i Lustig miał być zesłany do Syberyi Wschodniej w charakterze przymusowego kolonisty.

Klucznik otworzył celę Nr 6 i wkroczyliśmy do podłużnej, wąskiej i ponurej izdebki; gdzie siedział na tapczanie młody, przystojny człowiek z krótko przyszyronymi włosami, ciemną brodą i niebieskimi oczyma.

Powstał on przy naszym wejściu.

— Dzień dobry panie Lustig—rzekł uprzejmie Makowski.—Przychodzimy, aby pana wprawić w lepszy humor. Ci oto panowie są podróżnikami z Ameryki, którzy więzienie nasze zwiedzali, przyszło mi więc na myśl, że widzenie się z panem może być dla nich interesującym.

Wydalo mi się, jakgdyby przebłysk jakiejś otuchy, który przebiegł jego oblicze przy naszym wejściu, nagle zagasł. Być może przypuszczał on, że przychodzi ktoś, by go uwolnić z więzienia. Nieco zmieszany, podał nam dłoń pośpiesznie, jak gdyby długie zamknięcie odzwyczaiło go od form towarzyskich. Ale i ja nie całkiem czułem się swobodnym, zwłaszcza wskutek obecności naczelnika policyi, klucznika i żołnierzy.

Gdyby nas pozostawiono samych, zapewne wkrótce porozumielibyśmy się z sobą, tak jednak nie mogłem niczego z tego wszystkiego wyrazić, com czuł i wiedział, i musiałem być przezeń wzięty za ciekawego tylko turystę, który przychodzi przyrzec się uwięzionemu nihilście w ten sposób, jak się ogląda zwierzę egzotyczne w zwierzyńcu.

Cela miała około 7 metrów długości, 2 metrów szerokości i 4 metrów wysokości. Małe, zakratowane okno naprzeciwko drzwi skąpe dostarczało światła; otwór okienny tak wysoko był umieszczony, że nie mógłbym dostać doń ręką. Przed oknem znajdowała się drewniana przegroda, która zasłaniała wszelki widok, tak, że dla więźnia prawie niemożliwem było rozpoznać, czy niebo było zachmurzone czy jasne. Tapezan drewniany z cienką kołdrą wełnianą i czworokątny kubek, służący do koniecznej potrzeby, stanowiły całe urządzenie; nie było ani krzesła, ani stołu, ani książki, ani przyrządów do pisania. Niemógł on nic innego robić, jak w swej ponurej—i, jak sądzę także i zimnej—celi, siedząc natapezanie, rozmyślać.

Zapytałem go, jak długo znajdował się już

w tej celi; odpowiedział mi, że blisko cztery miesiące. Kapitan Makowski zaznaczył, że musi on tu pozostawać, gdyż nie zapadło jeszcze postanowienie co do miejsca jego przyszłego pobytu. Kiedy się to stanie, o tem on nie wiedział i o to nie troszczył się nikt, choćby biednemu więźniowi było tu gorzej, niż podczas robót przymusowych. Obecność naczelnika policyi przeszkodziła mi rozpytać się go o jego pobyt w kopalniach nad Karą, zadowolilem się więc tem, że uścisnąłem mu dłoń na pożegnanie serdecznie i wyraziłem życzenie szybkiego powrócenia mu wolności.

W tak doskonałym stanie, jak o tem wspominał kapitan Makowski, nie znalazłem więzienia w Irkucku, ale swoje zdanie zatrzymałem przy sobie, gdyż mnie o nie nie pytał.

Dopiero po kilku dniach widziałem się znowu z naczelnikiem policyi. W ciągu tego czasu wiedział także więzienia nowo mianowany gubernator generalny Syberyi, hrabia Ignatjew. W najbliższy wtorek odwiedził nas Makowski i w ciągu rozmowy, utrzymywanej na dość ogólnym gruncie, rzucił mi nagle, nie bez pewnego wzruszenia, zapytanie:

— Szczerze mówiąc, panie Kennan, jak pan znajduje nasze więzienia?

Odpowiedziałem tedy otwarcie, że więzienia syberyjskie znajdują się wogóle w złym stanie, ale w Irkucku są one zawsze lepsze, niż w Tiumeniu i Tomsku.

— Zadaję panu to pytanie, gdyż gubernator generalny, który ze swą małżonką w dniu dzisiejszym więzienia oglądał, wyraził się o nich z wiel-

kiem niezadowolaniem. Uważał on, że są brudne, przepelnione, powietrze w nich zepsute, bielizna więźniów jest zbyt nieochędozna i za gruba. Był on, krótko mówiąc, ze wszystkiego niezadowolony. Wiem wprawdzie o tem, że powietrze tam nie jest najlepsze, ale jak mogłoby być inaczej, jeśli w pomieszczeniu tej wielkości—wskazał na mój pokój—trzeba napakować trzydziestu ludzi! I bielizna mogłaby być lepsza, ale rząd musiałby więcej na to przeznaczać pieniędzy. Brudna!—jak ma być czystą, jeśli więźniowie tylko co sześć miesięcy otrzymują koszulę, a po całych latach nowe ubranie. I w tem ubraniu tkwi on dzień i noc, i ściąga je z siebie tylko wtedy, jeśli bierze, co nader rzadko się zdarza, kąpiel. Musi więc ta odzież być rzeczywiście brudną.

— Czyż koszula więźnia nie pierze się wcale, lub też chodzi on podczas jej prania nago?—zapytałem.

— Gdy się kąpie, to i pierze zazwyczaj także swą koszulę—odpowiedział naczelnik policyi — potem suszy ją, jak może, i kładzie napowrót na siebie.

Mówiłem potem o biednych więźniach, całych przemokłych podczas pochodu i zrobiłem uwagę, że mnie nie dziwi, iż oddziały dla chorych są przepelnione.

— Ma pan słusność—odpowiedział. — Życie zesłańców w pochodzie jest okropne. Co się jednak dotyczy naszego więzienia, to czynię, co leży tylko w mojej mocy. Nie ma tam nigdzie nagromadzonego brudu i, patrząc na to z punktu widzenia zdro-

wotności, jest lepiej, niż w niejednym domu prywatnym w mieście.

Szczególna rzecz, jak kapitan Makowski mógł zapoznawać stan fatalny więzień w Irkucku! Był do tego tak przyzwyczajony, że uważał to za całkiem prawidłowe i zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego gubernator generalny patrzył na rzeczy mniej pobłażliwie. Sądził on, że właściwie sprawczynią tej nagany była hrabina i przedstawiał ją jako, szlachetnie wprawdzie myślącą damę, ale także jako zupełnie niedoświadczoną, która nie знаła trudności, jakie pociągnęłyby za sobą ulepszenia, dokonane według jej wymagań.

— Uważam ją za mądrą damę, z darem bystrej spostrzegawczości,— zaznaczyłem.— Wczoraj przy obiedzie opowiadał mi jeden urzędnik zarządu więziennego, że na krótko przed odwiedzeniem więzienia chciała poprobować zupy.

Przyniesiono jej, czego żądała, ale poznała zaraz, że zupa musiała być dla niej osobno przyrządzona. Spytała więc, czy nie pozostało jeszcze co w kotle z zupy, gotowanej dla więźniów. Zostało nieco i skosztowała tego, przyczem zrobiła uwagę, że cieszy ją, iż przynajmniej jest tak, jak powinno było być już dawno, t. j., że naczynia kuchenne są czyszczone. Dowodzi to bystrej spostrzegawczości.

— Ba! bystra spostrzegawczość! — rzekł Makowski.— Być może! Jest to dama z dobrem sercem, szlachetna, ale nie ma ona pojęcia o rzeczywistych stosunkach. Myśli ona, że więzienie można sądzić

według takich prawideł, jak pensjonat dla dziewcząt. Sam pan wie dobrze, że to jest niemożliwe!...

Zrobiłem uwagę, że w więzieniu w Irkucku można jeszcze zaprowadzić niejaki ulepszenia, nie uciekając się z tego powodu do porównania z pensjonatem panińskim.

Wizyty przerwały naszą rozmowę; dyrektor policyi oddalił się, wciąż jeszcze wzburzony pod wpływem wyrażonej przez generał - gubernatora nagany...

Przy pierwszej audyencji, której udzielił hrabia Ignatiew, udaliśmy się i my także do niego; chcieliśmy przez to wyrazić mu nasz szacunek, sądziłem także, że w ciągu rozmowy poruszony zostanie system deportacyjny i stan tutejszych więzień.

Był to silnie zbudowany mężczyzna w wieku okoku lat 40-tu; głowa jego była dość wyłysiała, a w jego wyrazie twarzy widać było pewne napięcie. Przyjął nas grzecznie, ale chłodno, rozmawiał z nami w naszym języku rodzinnym, którym władał biegle, choć mówił nim nieco wolno.

Próbowałem skierować rozmowę na więzienia syberyjskie i wspomniałem przytem o wrażeniach, jakie wyniosłem z więzień w Tiumenu i Tomsku. Odpowiedział wymijająco, że cały system zesłania na Syberję, uważa za niekorzystny, a przynajmniej winien on być znacznie ulepszony. Zwyczajni przestępcy mogliby być używani do robót rolnych, co byłoby o wiele lepiej, niż im pozwalać próżnować w więzieniach lub wysyłać ich na przymusowe osiedlenie. Wspomniał, że chciałby, w rodzaju próby,

użyć pewnej liczby więźniów do robót na ulicach Irkucka, dalej, że istnieje zamiar, aby transportowanie zesłańców z Tomska do Irkucka w przyszłości odbywało się tylko podczas przyjaznego stanu powietrza i na wozach, co dla rządu wypadłoby taniej a dla zesłańców nie byłoby tak uciążliwe.

Te inowacye były — jak już wspomniałem zaprojektowane na kilka lat przedtem przez pułkownika Zagarina, ale dotychczas nie z tego nie wprowadzono w życie. Jak dawniej, tak i dziś jeszcze, muszą zesłańcy między Tomskiem i Irkuckiem wędrować, bez względu na stan pogody, podczas deszczów i upałów, wśród śnieżycy lub gęstego pyłu, wśród żaru słonecznego i podczas mrozów. Być może zresztą, że do tych zmian wcale nie przyjdzie, gdyż zamierzoną jest budowa kolei żelaznej transsyberyjskiej, która uczyni zbytecznym wszelkie transsportowanie na wozach. Ale zanim to może nastąpić, przejść może wiele lat i tymczasem będą musiały tysiące i tysiące mężczyzn, kobiet niewinnych i dzieci znosić umartwienia podróży na przestrzeni 1,600 kilometrów.

Podczas naszej rozmowy weszła hrabina, aby wręczyć mężowi list nadesłany. Przedstawił mnie. Była to dama średniego wzrostu, w wieku około lat 30, z włosami ciemnymi i inteligentnym, ale nieco chłodnym wyrazem twarzy. W jej obecności nie nadarzyła się już sposobność powrócenia do przedmiotu naszej rozmowy.

W ciągu dwunastu dni naszego pobytu w Irkucku, zawarliśmy kilka nader przyjemnych znajomości. Tak np., z panem Adamem Bukowskim, wła-

ścicielem kopalni, którego dom był dla nas zawsze gościnnie otwarty i który także bardzo dobrze mówił po angielsku; z doktorem Pisarewem, dzielnym lekarzem, do którego mieliśmy listy polecające z Petersburga; z panem Butinem, który czas jakiś przebywał w Ameryce i w swym sposobie myślenia i uczuciach stał się prawie Amerykaninem; panem Zagoskinem, bystrym redaktorem gazety *Sibir* i jeszcze z innymi.

W kilka dni po wspomnianej rozmowie z naczelnikiem policyi, odwiedziłem go w jego mieszkaniu i skierowałem rozmowę, między innymi, i na zesłańców politycznych.

Wogóle wyrażał się on w wysokim stopniu nieprzychylnie o „rewolucjonistach i nihilistach“, na których miał on poglądy, dosyć podobne do moich dawniejszych.— Ale bywają także wygnańcy polityczni,— zaznaczył,— którzy więcej zasługują na sympatyę i współczucie, młodzi ludzie, którzy nie uczestniczyli wcale w żądaniu przestępstwie, lecz tylko zaprzyjaźnieni byli z podżegaczami lub też z nimi prowadzili całkiem niewinną korespondencyę i obecnie pokutują za tę znajomość. Albo ludzie, których zesłano za to, że przypadkowo otrzymali na przechowanie od znajomych rękopisy lub druki, nie znając treści tychże. Gdy takie znaleziono u kogo, to wysyłano go na Syberyę, choćby zapewniał najuroczyściej, że o ich treści nie miał żadnego pojęcia. Innych znowu posyłano na Syberyę za to, że pożyczali podżegaczom pieniędzy, nie wiedząc jednak, że te pieniądze mogły służyć ku celom rewolucyjnym.



Wreszcie bywają także zupełnie młodzi ludzie, którzy ożywieni patryotyzmem, dążyli do dobra ojczyzny i przyłączali się w tym celu do tajnych stowarzyszeń, nie mając jednak na widoku wywołania jakiego buntu. Gdy takich policya wykryje, to bez litości wysyłają ich na Syberyę. Żałuję takich ludzi z całego serca!...

Przytaczam te słowa w tym celu, aby raz jeszcze dostarczyć dowodu, że rząd rosyjski wysłał na Syberyę ludzi, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa i nawet nie mogli być oskarżeni o zamiar popełnienia. Okoliczność ta nie była dla mnie nową, dziwiło mnie tylko, że słyszę o tem od naczelnika policyi.

Politycznych zesłańców nie było wtedy wielu w Irkucku, postaraliśmy się przecież ich odnaleźć. W końcu to nam się udało, naturalnie, bez żadnej pomocy ze strony Makowskiego. Nie przeczuwał on nawet zupełnie, chociaż jako kierownik policyi powinienby być w pewnej mierze wszechwiedzącym, że po niejednej wizycie u niego, często udawaliśmy się prosto na zebranie wszystkich zesłańców politycznych i przebywaliśmy pośród nich do późnej nocy.

Do najwięcej interesujących zesłańców politycznych w Irkucku należał Iwan Czerniawskij i jego żona, oboje zesłani w drodze administracyjnej w 1878 r. Poznałem ich dość blisko i powziąłem przytem najwyższy dla obojga szacunek, najwyższe współczucie, a zwłaszcza dla kobiety. Mało kobiet w wieku trzydziestu pięciu lat przeżyło już tyle nieszczęść, a jeszcze mniej mimo wszystko, mimo

choroby i niedostatku, potrafiło znaleźć w sobie tyle siły i mężstwa. — Gdy w drodze na zesłanie dostawiono ją do więzienia w Kijowie, dowiedziała się tam, że jej najukochańszy przyjaciel, towarzysz jej dzieciństwa, został zamordowany. Był to młody mężczyzna, pochodzenia angielskiego, nazwiskiem Beverley, którego aresztowano na podstawie oskarżenia, że posiadał pasport fałszywy i trudnił się propagandą rewolucyjną; był on wtedy równocześnie z nią odstawiony do więzienia w Kijowie. W nocy, po której pani Czerniawska miała być wytransportowaną dalej na Syberję, Beverley i jeden z jego towarzyszy usiłowali uciec.

Plan jednak ucieczki zdradzono i obaj zbiegli, w chwili, gdy chcieli się wydostać za obręb więzienia, padli pod strzałami przygotowanego oddziału żołnierzy. Ciężko rannemu Beverleyowi zadał wtedy jeden z żołnierzy swym bagnetem ostatnie pchnięcie, a drugiego zbiega lżej rannego poturbowano i wtrącono napowrót do celi. Nazajutrz gdy pochód gotował się do wyruszenia, ujrzała pani Czerniawska okrwawione zwłoki swego przyjaciela młodości, leżące jeszcze przed oknami więzienia. — Moje własne cierpienia nie wstrząsnęły mną do tego stopnia, jak ten wypadek, kończyła kobieta opowiadanie o tem okropnem zdarzeniu.

Nie będę opowiadał lepiej cierpień tej inteligentnej kobiety, podczas pochodu i w domach etapowych. Wreszcie dosięgli, ona i jej mąż, przeznaczonego dla nich miejsca zamieszkania: miasteczka w prowincyi tobolskiej. Tu narodziło się im dziecko i żyli, o ile w takich stosunkach to jest możli-

we, dosyć znośnie, aż do objęcia rządów przez cesarza Aleksandra III, kiedy p. Czerniawski został powołany do złożenia przysięgi wierności. Odmówił tego i został za to wysłany do Krasnojarska a gdy i potem powtórzył swą odmowę, zesłano ich do Irkucka; odbyli tam drogę podczas srogiej zimy w otwartych pojazdach wraz z dzieckiem, ledwie rocznem. Mimo całej troskliwości nie mogła kobieta ochronić dostatecznie swego dziecka i zmarło ono na ostatniej stacyi przed Irkuckiem. Ten cios przyprawił na razie biedną matkę o pomieszanie zmysłów; tuliła dziecię w swych objęciach, śpiewała mu kołysanki, płakała, modliła się, kłęta, szalała.

W takich okolicznościach przybył Czerniawski ze swą żoną do Irkucka, gdzie z trupem dziecka na ręku, przy zimnie, dosięgającym 30 stopni, musieli pół godziny jeszcze na otwartem powietrzu oczekiwać na ukończenie formalności przyjęcia. Kobiętę pomieszczono w szpitalu, gdzie pozostawała aż do wyzdrowienia, poczem zesłano oboje jeszcze dalej o 3,000 kilometrów ku północo-wschodowi, do „ulusu Batarskiego,” do Jakutów, którzy przebywali wśród pustkowia, odległego przeszło 150 kilometrów od najbliższego miasta. Tu pozostawali oni wystawieni na wszelkie umartwienia, aż im w 1884 r. dozwolono powrócić do jednej z cywilizowanych miejscowości Syberyi.

Gdym poznał tę kobietę, zdrowie jej, wskutek nędzy, jaką przeszła, było całkiem zrujnowane. Utraciła ona wśród najsmutniejszych w świecie okoliczności dwoje dzieci i oddzieloną była od wszystkich swych krewnych i przyjaciół przestrzenią tysięcy

kilometrów. Co ją jeszcze podtrzymywało—to miłość dla męża, którego doli zresztą wskutek swej słabowitości nie mogła ulżyć. Dwa miesiące wtedy nie opuszczała mieszkania. Gdym się z nią żegnał, doświadczałem uczucia, jakby już wkrótce czekało ją pożegnanie z tą ziemią i po raz pierwszy od czasu mego dzieciństwa poczułem znów łzy w oczach. Ofiarowałem jej na pamiątkę moją fotografię. Ku zdumieniu mojemu nie chciała jej przyjąć i rzekła ze smutkiem dla wyjaśnienia: Przed laty miałam portret jednego z moich zmarłych dzieci, była to jedyna pamiątka, która pozostała po mym ulubieńcu. Jednej nocy policya zrobiła u nas rewizyę i zabrała wszystkie pisma i fotografie. Mówiłam, że to był jedyny portret jednego z mych zmarłych dzieci, oficer żandarmski dał mi nawet słowo honoru, że portret otrzymam napowrót, ale tak się nie stało. Postanowiłam sobie wtedy, że rządowi rosyjskiemu nie dostarczę sposobności do zadania mi raz jeszcze podobnego bólu i dlatego nie przyjmuję od tego czasu od ludzi, którzy mi są sympatyczni, ich fotografii.

Nie wiem, czy żyje jeszcze pani Czerniawska. Życzę jej tego i pragnę także, aby te wiersze zdarzyło się jej czytać i aby one dowiodły jej, jak po tamtej stronie wielkiej wody jeszcze przyjaźnie myślę o niej.

## 2. W kraju Zabajkalskim.

Z Irkucka pojechaliśmy do Selengińska w kraju Zabajkalskim. Zrobiliśmy ztąd wycieczkę do położonego niedaleko klasztoru buddyjskiego i gdyśmy powrócili, zamówiliśmy konie pocztowe, aby się udać do odległego około 110 kilometrów miasta Kiachty; leży ono na granicy mongolskiej. Dosięgliśmy na drugi dzień rano tego celu, ale trafiliśmy na przeszkody, które w Syberyi, a zwłaszcza w kraju Zabajkalskim zdarzają się nie rzadko. Dotarliśmy mianowicie wkrótce po północy do rzeki, którą musieliśmy przebyć na promie zwanym „Karbas.” Prom ten znajdował się przy przeciwległym brzegu i musieliśmy wołać na przewoźnika, który spał prawdopodobnie. Całą godzinę krzyczeliśmy z całej siły; „Kar-ba-a-a-s! Kar-ba-a-a-s!” —ale bez skutku i tylko echo leżących na przeciw wzgórz zwracało nam drwiąco wołanie. Już chcieliśmy, przemarzli i senni, porzucić dalsze próby i powrócić do Selengińska, gdy zauważyliśmy nagle poruszenie się

przy brzegu przeciwnym i rzeczywiście upragniony przewoźnik przybywał nareszcie po nas.

W małe pół godziny później jechaliśmy już po tamtym brzegu rzeki i dobiliśmy o 3-ej rano do stacyi pocztowej Poworotnaja, gdzie podróż nasza natrafiła na nową przeszkodę: nie było tu wcale koni pocztowych. Pokój poczekalny przepelniali ludzie, rozłożeni na podłodze i musieliśmy szukać miejsca dla siebie, które znaleźliśmy w kącie u pieca, między dwoma Chińczykami i kupą skór jelenich. Położyliśmy się tutaj.

Przez środę jechaliśmy dzień cały ku południowi przez niezamieszkaną piaszczystą okolicę, porośłą skąpą trawą i zagajnikami iglastemi, którą urozmaicały tu i owdzie niskie wzgórza, pokryte brzezina. Czasami spotykaliśmy także łańcuch jednokonných wózków, które dążyły z Chin z ładunkiem herbaty, albo Buryatów na koniach, w płaskich kapeluszach i długich brunatnych chałatach. W ogóle ruch na drodze był nieznaczący i nie przedstawiał nic godnego uwagi, prócz chyba kup kamieni na szczytach wzgórz, które Frost nazywał „schroniskami relikwii Buryatów.” W całej Syberyi mają zwyczaj tuziemcy składać ofiary na wzgórzach duchowi burzy. Na północo-wschodzie rozsypują zwykle na ofiarę nieco tytoniu, tutaj znowu układają kupy kamieni, do których każdy podróżny przytwierdza szmatkę ze swego odzienia na ofiarę. Przyczepiają także do źerdzi, strzępki te są wszelkich barw i wszelkich gatunków. Możliaby przypuszczać że zwyczaj ten powstał ze względów praktycznych i przy pomocy tego zbioru lachmanków podróżnemu

łatwiej było odnaleźć ślady przyjaciela, który go poprzedzał na drodze, gdyż znane mu było jego odzienie. Ale nie takie było pochodzenie zwyczaju. Dokładne tegoż zbadanie przekonało mnie, że każdy Buryat, gdy się wybiera w drogę, zaopatruje się w gotowe strzępki, które potem składa w ofierze bogu burzy.

Powietrze było chłodne i przykre, przez dzień cały padał śnieg albo deszcz. Na stacyach pocztowych nie mogliśmy dostać niczego do jedzenia; gdy się ściemniło, byliśmy zmarznięci i głodni i niemało uradowaliśmy się, gdyśmy ujrzeli nakoniec oświetlone okna małych domków drewnianych Troickosawska, miasteczka, położonego o cztery kilometry na północ od granicy Mongolii.

Trzy miasteczka: Troickosawsk, Kiachta i Majmaczyn leżą w bezpośrednim z sobą sąsiedztwie: oba pierwsze znajdują się na terytorium rosyjskiem podczas gdy ostatnie leży już w Mongolii i oddzielone jest od Kiachty tylko pasem ziemi neutralnym szerokości około 200 metrów. Troickosawsk jest największem z trzech wzmiankowanych miasteczek i najważniejszym także pod względem administracyjnym, mimo to Kiachta, która leży na samej granicy, więcej jest z nazwiska znaną, niż oba pozostałe.

Poszliśmy za radą pewnego młodego kupca, którego poznaliśmy na parostatku na jeziorze Bajkale i pojechaliśmy bez zatrzymywania się w Troickosawsku, prosto do Kiachty, aby stanąć tam w zarekomendowanym przezeń „hotelu Sokołowa”. Musieliśmy czas jakiś szukać, zanim znaleźliśmy ten

hotel i ujrzelismy ze zdumieniem, że weale a weale nie wyglądał na hotel. Dom ten stał w pośrodku otoczonego wysokim murem podwórza, w oknach nie było światła, choć jeszcze godzina nie była późna, a brama wejściowa była zamknięta. Po długim stukaniu i wołaniu ukazała się nakoniec jakaś dziewczyna, która przyglądała się nam z początku nader podejrzliwie, i dopiero po niejakej chwili dała się przekonać, że jesteśmy spokojnymi podróżnymi, którzy życzą sobie znaleźć schronienie. Zaznaczyła ona, że pan Sokółow czasami tylko, przyjmuje podróżnych, ale tylko takich, którzy przybywają do niego z listami polecającymi, ale nie pierwszych lepszych ludzi, którzy sobie tego życzą. I w końcu wyraziła zdanie, że byłoby najlepiej, gdybyśmy powrócili do Troickosawska i poszukali sobie tam oberży. Zmuszeni byliśmy zdecydować się na to, gdyż nie mieliśmy żadnego polecającego listu do pana Sokółowa, a dziewczyna nie była skłonna do dalszych pertraktacji przy drzwiach na w pół otwartych. Wsiadliśmy więc na powrót do naszej bryki i powrócili do wspomnianego miasteczka, gdzie po długim poszukiwaniu znaleźliśmy wreszcie przytułek u jednego zesłańca Polaka, nazwiskiem Kłębocki. Miał on piekarnię i wynajmował przytem kilka pokoi w swym domu przejeżdżającym podróżnym, nawet wtedy, gdy przybywali bez listów polecających. Nie była to siedziba przyjemna; podłogi były z desek nieheblowanych, szczeliny w drewnianych ścianach pozatykane konopiami; prosty stół, trzy stolki i wąskie łóżko stanowiły całe urządzenie pokoju. Pościel musiał po-



drożny przywieźć z sobą, albo się obejść bez niej. Ponieważ była już godzina dziesiąta wieczór, nie było więc czasu obejrzeć się za jakim lepszym schronieniem, kazaliśmy więc znieść nasze bagaże do pokoju. Następnie zjedliśmy nędzną wieczerzę, złożoną z herbaty i chleba i przygotowaliśmy sobie na ziemi legowisko. Jak zwykle, musieliśmy i tutaj znaczną część nocy poświęcić na walkę z pluskwami.

We czwartek popołudniu najęliśmy „dołguszkę” — jak nazywają na Syberyi oryginalnie zbudowany pojazd — i pojechaliśmy do Kiachty; tutaj chcieliśmy odwiedzić pewnego bogatego rosyjskiego kupca herbaty, do którego mieliśmy listy polecające.

Sąsiadujące ze sobą miasteczka Troickosawsk, Kiachta i Majmaczyn leżą w dość płaskiej i niemej dolinie, na brzegu rzeczki, wpadającej do Selengi. Nagie wzgórza, otaczające dolinę, ciągną się równolegle do rzeki i zasłaniają widok z trzech stron. Ku południowi jednak oko wybiega po nad stare domostwa Majmaczyna aż do błękitniejących w dali gór Mongolii.

Na pierwszy rzut oka możnaby Kiachtę wziąć za wielką, zamożną wieś, chociaż jest tu więcej dwupiętrowych, a nawet okazańszych domów, niż w innych wsiach syberyjskich, chociaż posiada ona jedną czy nawet dwie zwracające uwagę cerkwie w stylu bizantyjskim. Co najmniej już mógłby nie jeden mniemać, że ma przed sobą jakieś ważne miasto handlowe, punkt zborny ruchu handlowego w Syberyi Wschodniej. Corocznie przewożą przez nią

towarów na sumę około 30 milionów, idących z Kiachty do Mongolii lub ztąd do Rosyi. Słynna „herbata karawanowa“ przechodzi przez Kiachtę do Rosyi i do innych krajów Europy, przy czem opakowują ją w tem miasteczku troskliwie i zaszywają w skóry zwierzęce. Przez to miasteczko także przechodzą transporty jedwabiów z Chin północnych, krepy jedwabnej i wreszcie herbaty „cegiełkowej“, będącej mieszaniną ordynarnej herbaty, odpadków herbacianych, a także niektórych surogatów, którym w prasie nadaje się formę cegiełek. Służy ona ogólnie za napój ubogiej ludności rosyjskiej, a także tuziemcom na Syberyi, Kirgizom, Buryatom i innym szczepom. Do Chin wywożą głównie towary fabrykowane w Rosyi, dalej rogi jelenie, tytuń i metale szlachetne w postaci monet rosyjskich, angielskich i amerykańskich, nawet srebrny dolar unii amerykańskiej napływa przez Syberyę do „państwa niebieskiego.“ Są także między kupcami w Kiachcie bardzo bogaci ludzie. Wielu z nich, zwłaszcza wśród kupców herbaty zarabia rocznie po ćwierć miliona rubli.

Wyszukaliśmy nareszcie pana Łucznikowa, do którego mieliśmy rekomendacye.

Mieszkał on w ładnym, dwupiętrowym budynku w środku miasteczka i gdyśmy się mu przedstawili, przyjął nas z ową serdeczną gościnnością, która cechuje wszystkich Rosyan od cieśniny Behringa do brzegu Bałtyku. Podczas śniadania, które zaraz podano, mówiliśmy o miasteczkach sąsiednich; gospodarz nasz mniemał, że Kiachta nie mogła dla nas przedstawiać nic interesującego, gdyż jest po-

dobną do innych miejscowości syberyjskich. Majmaczyn, być może, mógł zainteresować więcej, zwłaszcza, jeśliśmy jeszcze dotąd nie widzieli miejscowości chińskiej.

Nagle jakby mu przyszła dobra jakaś myśl do głowy, zapytał:

— Czy panowie już kiedy jedli obiad chiński?"

— Nigdy!—odpowiedziałem.

— No, więc zapoznacie się z czemś nowem — powiedział. — Pojutrze każę przygotować w Majmaczynie obiad chiński. Mam tam przyjaciela Chińczyka, będącego w stosunkach handlowych ze mną, który ma dobrego kucharza. Co prawda w tak krótkim czasie można przygotować ucztę zaledwie z dań czterdziestu, ale to wystarczy, aby pozwoliło panom poznać chińską sztukę kuchenną do pewnego stopnia.

Przyjęliśmy to zaproszenie z podziękowaniem i zaznaczyliśmy, że podczas podróży naszej w kraju Zabajkalskim miewaliśmy rzadko coś więcej na obiad po nad chleb i herbatę, że więc nie przyzwyczailiśmy się do tego, by czterdziestu daniami nie móżd również zaspokoić naszego apetytu, jak i ciekawości.

Później odwiedziliśmy komisarza rosyjskiego pogranicznego, który nas przyjął nie mniej serdecznie. Tutaj w tym odległym zakątku świata, wydało nam się, że ziemia nie jest właściwie tak wielką, jak sądzą, gdyż wszędzie spotykaliśmy rzeczy i stosunki, które znajdowały się w związku ze światem ucywilizowanym a nawet z naszą ojczyzną. Tak np. spotkaliśmy w domu wspomnianego kupca, pa-

na Łucznikowa, panią Hamilton, Szkotkę, z którą mogliśmy rozmawiać w języku rodzinnym. Tu znowu w domu komisarza pogranicznego Sutkowskiego, trafiliśmy na pewnego pana, który zaznajomił się z wielu oficerami wyprawy podbiegunowej z „Jeanette’y.”

I tu także musieliśmy zjeść śniadanie i po ukończeniu tegoż i milej pogawędki z panem Sutkowskim, wróciliśmy do Troickosawska i włóczyliśmy się po ulicach, oglądając bazar, sklepy kupców chińskich i co się tylko dało. W jednym ze sklepów znalazłem, ku memu zdumieniu stary egzemplarz redagowanego w swoim czasie przez Boza Dickensa pisma „*All the year round*”. Zkąd się ono tu wziąć mogło? Może w tym sklepie w Troickosawsku znalazłoby się także jakie pismo amerykańskie, które pozostawił jaki podróżny, lub dostało się tam jaką inną drogą? Dotknęło by to mą profesjonalną i patryotyczną próżność, że „*All the year round*” mogło znaleźć w Mongolii większe rozpowszechnienie, niż nasz „*Century Magazine*”.

Po długim poszukiwaniu odkryłem nakoniec w sklepie brunatnego Mongola utwór ducha amerykańskiego, co moją próżność narodową nieco zadowoliło i co mogło służyć za dowód, że my stanowczo wpływamy na współczesność. Był to mianowicie stary zegar, zrobiony w Rode-Island.

Później miała moja duma amerykańska być zadowolona jeszcze więcej: znalazłem w bezludnym i odległym zakątku kraju Zabajkalskiego *Zycie nad*

*Mississippi* Marka Twaina i przekład rosyjski Bret-Harta *Szczęścia w Roaring Camp*.

We środę, 2 października, pojechaliśmy znowu do Kiachty i oddaliśmy wizytę w towarzystwie komisarza pogranicznego gubernatorowi chińskiemu w Majmaczynie.

W pośrodku wspomnianej wyżej strefy neutralnej kraju między Kiachtą i Majmaczynem przechodzi granica między Rosją i Chinami; prócz tego oddziela Majmaczyn od posiadłości rosyjskich wysoki parkan z desek i budynek pagody, które zagradzają widok na miasteczko pograniczne państwa niebieskiego.

Nie można sobie wyobrazić gwałtowniejszej i więcej niespodzianej zmiany widoku nad tę, jaka otwiera się przed oczyma po przebyciu przestrzeni, obejmującej zaledwie kilkaset kroków od Kiachty do Majmaczynu. Tu prowincjonalne miasto rosyjskie ze swemi charakterystycznymi drewnianymi domami, kopułami cerkwi, sklepami, wozami, żołnierzami i włościanami; tam nagle stajemy w pośrodku życia chińskiego. Zdaje się, jakby się wstąpiło na znany kobierzec „samolot” z *Tysiąca i jednej nocy*, który przeniósł nas z cudowną szybkością do jakiejś niezwykle oddalonej miejscowości.

Przy wązkich, niebrukowanych ulicach stoją małe, po większej części jednopiętrowe domy bez okien, zbudowane z masy glinianej rozrobionej z sieczką ze słomy. Dachy tych domostw zdobi snycerszczyzna z krajami, powyginanemi na zewnątrz. Ciężkie, dwukołowe, zaprzężone w woły wozy, naładowane skrzyniami z herbata i kierowa-

ne przez brunatnawych Mongołów, zastępują tu konie i telegi rosyjskie. Kupcy chińscy w lekkich, powiewnych szatach i białych trzewiakach kręcą się tu wszędzie, podczas gdy tam spotyka się handlarzy rosyjskich w długich butach, luźnych kamizelkach i spuszczonej na spodnie koszulach. Z pod namiotów pustyni piaszczystej Gobi, przybywają tu opaleni od słońca jeźdźcy w odzieży barwy pomarańczowej i w płaskich, kształtu miski, kapeluszach. Wszędzie, dokąd sięgniesz okiem lub stopą widzisz rzeczy niezwykle rzadkie i wszędzie Chiny zastępują Rosyę.

W towarzystwie tłumacza rosyjsko-chińskiego, udaliśmy się do gubernatora, którego dom różnił się od innych głównie przez osadzone przed nim dwie żerdzie, zakończone złoconymi kulami. Pan Sułkowski przedstawił nas i gubernator kazał podać herbatę, owoce w cukrze i „majgalo”, rodzaj wódki z ryżu. Rozmowa toczyła się w granicach zwykłych zwrotów, zapytań i odpowiedzi o stanie zdrowia i t. p. Wypiliśmy kilka kubków majgalo, spróbowaliśmy owoców, smażonych w cukrze i udaliśmy się potem z gubernatorem do świątyni, gdyż nastąpił czas nabożeństwa. Odbywało się ono przed posągami bożka, wyciosanego z drzewa, przyczem uderzano w dzwonek o głębokim brzmieniu, co miało na celu dać znać całemu miasteczku, że jego ekscelencya pan gubernator raczy składać modły.

Potem powróciliśmy znowu do domu jego, gdzie Frost naszkicował jego rysy; śmiesznie było patrzeć, z jaką godności pełną miną siedział przez

ten czas chiński dostojnik na swem, pokrytem skórą tygrysią, krześle. Gdy się i to skończyło, nie chcieliśmy już dłużej pozostać, pożegnaliśmy się i otrzymaliśmy przy tem resztki podanych nam łakoci w ozdobnem opakowaniu.

Całe popołudnie przepędziliśmy na daremnych próbach, aby sfotografować osobliwe typy, które oglądaliśmy na ulicach Majmaczynu. Mongołowie, Buryaci i przedstawiciele innych szczepów, których postaci dotąd jeszcze nikt, być może, nie wyobrazil, otaczali nas naokoło, a my ustawialiśmy aparat i kierowali na którąkolwiek grupę; lecz zaledwie Frost schował głowę pod czarne sukno, ludek się rozpraszał, jak gdyby wycelowano nań armatę. Przychodziło mi na myśl, że byłoby niezłe zarekomendować gubernatorowi chińskiemu zastosowanie aparatu fotograficznego do tłumienia zaburzeń ludowych, gdyż skuteczniejszą nie mogłaby się okazać cała bateria dział. Dość nam było ustawić aparat, aby w chwili jednej ożywioną ulicę zamienić na bezludną. Jeśli się nie mylę, dnia tego nie udało się Frostowi otrzymać czegośkolwiek na płycie, wyjąwszy zaprzęgu mongolskiego z wołów, lub dwóch, czy trzech dalekich żebraków, dla których niemożliwą była szybka ucieczka.

Zresztą następnego dnia w Troickosawsku na bazarze nie poszło nam także, lepiej. Tutaj chciał Frost naszkicować jakiegoś Mongoła nader dziwnego wyglądu, ale tłum przyjął względem niego tak groźną postawę, że uniknął poturbowania tylko przez szybką rejteradę. Mieliśmy tu sposobność żałować również jak i w innych wypadkach, żeśmy się

nie zaopatrzyli w aparat łatwy do ukrycia, oddałby on nam, jako mało zwracający uwagę, dobre usługi tutaj, gdzie używanie wielkiego aparatu budziło strach i podejrzenie.

W sobotę popołudniu odbył się wspomniany obiad chiński, na którym, oprócz gospodarza i panna Łucznikowa oraz kilku panów i dam z kółka znajomych ostatniego, byliśmy naturalnie i my obecni. Stół był nakryty białym obrusem i całkiem na sposób europejski zaopatrzony w sprzęty stołowe, talerze, noże, kubki, szklanki, butelki i t. p. Kto chciał, brał sobie także używane w Chinach paleczki z kości słoniowej do jedzenia; my, Europejczycy i Amerykanie, zrobiliśmy tylko próbę z nimi. Gdyśmy zajęli miejsca obniesiono naokoło butlę z zabarwionym ciemno octem i każdy nalał sobie z niej płynu do stojącej obok talerza czarki.

— Co to ma być?—zapytałem Łucznikowa.

— Trzeba tem skrapiać jedzenie. Chińczycy tutaj jedzą prawie wszystko z octem.. Smakuje to zresztą niezłe.

Co za potrawy miano nam podać, nie miałem o tem żadnego pojęcia, przyjąłem tedy do wiadomości tę informację i oczekiwałem biegu rzeczy.

Podano pierwszą potrawę.

Co to było, nie wiem równie dobrze teraz, jak nie wiedziałem wówczas. W notesie zaznaczyłem sobie: „Trawa morska albo jakaś inna roślina wodna, wyglądająca na mech“. Prawdopodobnie podano ją nam w stanie gotowanym, ale była zimna i wyglądała nie bardzo apetycznie. Goście brali tego trochę, maczali w occie i jedli, większość z nie



wielką, zapewne chęcią, ale nie dawali tego poznać po sobie. Nie chcieliśmy, naturalnie, stanowić wyjątku i szliśmy za danym nam przykładem. Następne dania zapisałem w notesie, jak następuje:

2) Zimne mięso pokrajane na kawałki w żółtej galarecie.

3) Ciemne grzyby nieznanego mi gatunku.

4) Sałata z cebul i ziół.

5) Pędy brzoźowe.

6) W cienkie paski pokrajana wędlina, zagadkowego wyglądu. Materiał mi nie znany.

7) W kostki i wiórki pokrajane jaja, zabarwione na kolor satianu.

8) Pieczone szyjki raków.

9) Włóknista trawa morska jasno-zielonej barwy.

10) Jakaś roślina morska z kędzierzawymi włóknami, podobna do szatkowanej kapusty.

Z tych skąpych notatek nie możnaby w żaden sposób ułożyć odpowiadającego prawidłom sztuki kulinarnej spisu potraw. Zapisywałem, jak mi się to lub owo wydawało, ale co to rzeczywiście było, przy niektórych daniach nie wiedziałem wcale i nie mogłem o to zapytywać. Wszystkie te potrawy podawane były na zimno i jadło się je z octem. Przy stole stała miednica z węglami rozżarzonemi, a na niej płaskie naczynie, pełne gorącej wody, w niem zaś kilka srebrnych dzbanów z majgalo. Po każdym daniu służący obnosił dzban i napełniał, gdzie to trzeba stojące obok talerzy malutkie filiżaneczki porcelanowe. Przyszła mi na myśl jedna anegdota, którą usłyszałem na krótko przedtem.

Pewien prostoduszny włościanin w Syberyi wschodniej znalazł przy kopaniu coś, co uważał za resztki mamuta<sup>2)</sup>). Spodziejając się nagrody, doniósł o tem isprawnikowi, i aby doniosłość znalezione go wystawić w najlepszem świetle, pokosztował on tego przedmiotu i opowiadał potem urzędnikowi, że zwierzę przedpotopowe zachowało się jeszcze tak dobrze, że mięso jego było jadalne. Wydelegowano tedy członka towarzystwa geograficznego z Irkucka do zbadania tej sprawy; orzekł on, że to nie jest nic innego, jak pozostałość z tak zwanej „gornej kozi”, co znaczy, mniej więcej, „skóra mineralna”, trafiający się w Syberyi kamień. Isprawnikowi było naturalnie nieprzyjemnie, że się tak wobec uczonego okazał naiwnym, kazał więc zawołać do siebie włościanina i zawołał rozgniewany:

— Głupcze! jak mogłeś tak przedemną zelgać, że jadłeś to mięso. W tem nie ma mięsa, to nie jest mamut, tylko minerał, który się trafia w kopalniach!

— Ja jednak rzeczywiście to jadłem, panie — potwierdził włościanin — zresztą, — dodał stropiony — czego to nie można zjeść z masłem!

— Czego to nie można zjeść z octem i wódką ryżową! — pomyślałem sobie, gdy służący obnosił te rozmaite potrawy.

Gdy obniesiono te zimne potrawy, napełniono

<sup>1)</sup> Należy nadmienić, że w Syberyi często znajdują resztki mamutów.

znów kubki octem i nastąpiły niżej wymienione dania ciepłe:

1) Kluski z cielęciny w cieście.

Przyjaciel Frost wyobraził sobie nagle, że to nie mogło być nic innego, tylko mięso ze szczeńiat i nie go nie mogło przemódz, aby skosztował choć trochę z tej potrawy nawet przy pomocy sosu octowego. Napróżno usiłowałem dać mu do zrozumienia, że tego rodzaju przesady nieuzasadnione nie przystoją dla podróżnika wszechświatowego i badacza, zwłaszcza, jeśli już przedtem trzy lata przebył w państwie rosyjskiem.

Gdybym był przeczuł, co potem jeszcze przyjdzie na stół, byłbym zapewne mniej otwarty w wyjawianiu swych poglądów.

2) Pieczone kluski z mięsa.

3) Paszteciki mięsne.

4) Gotowany drób w gęstym białym sosie, w którym pływały ślimaki.

Tutaj nastąpił kres i mego heroizmu. Ślimaki w gotowaniu stały się całkiem czarne i podobne były zupełnie do upieczonych robaków. Wprawdzie myślałem, że po użyciu dwóch filiżanek gorącej wódki, można się będzie na połknięcie tego odważyć, ale nie szło. Moc przesądu była za silna!

5) Jakaś masa tłusta w miękkich, jasnych, przezroczystych kawałkach.

6) Pieczone prosie.

To danie było stanowczo najlepsze ze wszystkich i smakowało wcale dobrze, gdyż Chińczycy są mistrzami w przyrządzaniu pieczeni z prosięcia.

7) Kawałki baraniny, upieczone na roźnie.

8) Kura pokrajana na długie, cienkie paski i do tego rosół.

9) Gotowany ryż.

10) Jakieś twarde grzyby, czy pędy w sosie brązowym.

11) Cienki, przezroczysty makaron.

12) Główki kurze z częstkami szejek. Na koniec:

13 do 14) Różne zupy, jednocześnie podane.

Na tem skończyła się główna część obiadu. Usunięto stół wraz z naczyńiami z octem i wódką i służba wniosła orzechy, owoce w cukrze oraz ciasta różnego gatunku, doskonałą herbatę i wreszcie szampan francuski.

Więcej niż trzy godziny trwały te rozkosze gastronomiczne; w ciągu tego czasu zjadł każdy z gości ogromną ilość potraw, spożył od dwóch do trzech kubków octu, wypił piętnaście albo i więcej filiżanek gorącej wódki uperfumowanej olejkiem różanym i splókał wreszcie resztki tych smakołyków chińskich kilku szklankami musującego wina, które wychylano za pomyślność uprzejmego gospodarza. Jak dostaliśmy się bez cudzej pomocy do naszego pojazdu i żeśmy sobie gruntownie nie zepsuli żołądków, dotąd jeszcze pojąć tego nie możemy. W każdym razie moja żądza wiedzy, o ile dotyczyła chińskiego kunsztu kuchennego, całkowicie została zaspokojona. Jeśli Chińczycy obiadują tak codziennie, to czysty cud, że naród ten jeszcze nie wymarł. Sądzę, że kto zjadł w późnej jesieni taki obiad, to może—przypuściwszy, że nie umrze wsku-

tek niestrawności — przetrwać, jak niedźwiedź, w śnie pogrążony, całą zimę.

Gdyśmy o późnej godzinie popołudniu opuścili naszego gospodarza chińskiego, nie przypuszczałem nawet, że ta uczta na długo miała pozostać naszą ostatnią przyjemnością i że już nigdy nie zobaczę mongolskiego miasteczka. W niedzielę rano poczułem się niedobrze i wkrótce potem owładnęła mną silna gorączka wraz z bólem głowy, bólem krzyża, kaszlem i osłabieniem. Rozpoczęła się poważna choroba, która trwała dwa tygodnie, z której dopiero po trzech miesiącach przyszedłem do siebie i która w mojej podróży była chwilą najcięższą. Dotąd przynajmniej zdrowy organizm zwalczał z powodzeniem wszelkie umartwienia podróży w tym kraju, teraz pozostała mi tylko energia, silna wola i — chinina.

Byłoby zbyt ciężkie opowiadać tutaj całą nędzę choroby, która przykuła mnie do mieszkania, wynajmowanego u piekarza Klębockiego<sup>2</sup> w miasteczku pogranicznym Troiekosawsku. Nie posiadam notatek z tych dni ponurych, które opisałem w jednym liście, wysłanym do ojczystego kraju w następujący sposób:

„Leżeć w domu w porządnym łóżku, na czystej pościeli i przy wystarczającej opiece—to jeszcze znośne. Ale leżeć tutaj na twardych deskach w ubraniu, w gorączce, dręczonym przez pluskwy—to za wiele.”

Prócz kożucha baraniego i brudnej kołdry wełnianej nie miałem nic na swoim posłaniu, i gdziekolwiek się położyłem, na deskach, na stole lub na

twardem łóżku, wszędzie znęcało się nademną robactwo. W pierwszych dniach usiłowałem leczyć się sam przy pomocy apteczki podróźnej, gdy się jednak dowiedziałem, że w miasteczku jest lekarz, kazałem go wezwać i udało mu się wreszcie zwyciężyć gorączkę silnemi dozami chininy. Po dniach dwunastu mogłem już dźwignąć się na nogi, chociaż z trudnością.

Tutaj dopiero poznałem, co muszą cierpieć biedni zesłańcy, gdy wpadną w chorobę w czasie pochodu. I przytem brak im pożywienia i muszą oddychać zatrutem powietrzem. Niejeden upada jeszcze pod ciężarem kajdan, jak np. pan Czarnuszin, więzień polityczny, którego poznałem w Nerczyńsku; nawet podczas niebezpiecznego tyfusu, jakiemu uległ, nie zdjęto z nóg jego kajdan.

Dnia 15 października wyjechaliśmy z Troickosawska do Selengińska. Chociaż czułem się tak słabym, że powrót choroby był możliwy, lecz sądziłem, iż przebywanie w powietrzu chłodnem na trzęsącej bryce było jednak łatwiejszem do zniesienia, od pozostawania w izbie, rojącej się od robactwa. Przebyliśmy do wieczora około 100 kilometrów, przenocowaliśmy w domu pocztowym we wsi Poworotnej i puściliśmy się w dalszą drogę, która nas doprowadziła do wspomnianego miejsca.

Selenginsk jest nędznem gniazdem buriackim, gdzie przebywało 3-ch zesłańców politycznych, którzy interesowali mnie bardzo i z którymi pragnąłem porozmawiać. Byli to: Konstanty Samarin, student z Ekaterynenburga, Kardaszow, Gruzin z Kaukazu i pani Breszowska, młoda, wykształcona da-

ma z Kijowa. Dwoje ostatnich musieli odbyć kare w robotach ciężkich nad Karą i chciałem u nich zasięgnąć rady, w jaki sposób najłatwiej można zwiedzić te kopalnie i z jakiego rodzaju urzędnikami będę tam miał do czynienia.

Odwiedziłem najprzód Samarina, młodego, pięknego mężczyznę, w wieku lat przeszło 20-tu, średniego wzrostu z wytwornem obejściem. Spojrzenie jego było pełne uprzejmości i budziło zaufanie. Historia jego była dowodem, świadczącym, jak rząd rosyjski pozbawia wszelkich praw obywatelskich każdego, kto raz słusznie czy niesłusznie ściągnie na siebie podejrzenie co do swej „nieprawomyślności”.

Był jeszcze studentem, gdy go aresztowano za to, że był, jakoby podżegaczem i przetrzymano trzy lata w odosobnieniu w twierdzy Petropawłowskiej pod śledztwem, aby go wreszcie postawić przed sądem. To, co mu dowiedziono, było tak mało ważne, że wyrok skazywał go tylko na dwa miesiące więzienia. Tak więc trzy lata musiał on przeżyć w strasznym więzieniu śledczem i wtedy dopiero uznano go za winnego nieznacznego przestępstwa, za które była dostateczną karą dwóch miesięcy więzienia. Niestety, miało nastąpić coś jeszcze o wiele dziwniejszego. Samarin mógł się spodziewać, że po upływie tych dwóch miesięcy wypuszczą go wreszcie na wolność. Rząd jednak uznał za stosowniejsze zesłać go „w drodze administracyjnej” do Burguzina, nędznego gniazda w kraju zabajkalskim.

W lecie, 1881 r., zrobił on wraz z trzema jeszcze zesłańcami próbę ucieczki, należała do tego

i pani Breszowskaja. Mieli oni nadzieję, że osiągną Oceanu Wielkiego i tutaj dostaną się na okręt amerykański. Ucieczka się jednak nie udała i zesłano go za karę do ulusów jakuckich, gdzie poznajomili się z nim także uczestnicy ekspedycji amerykańskiej, wysłanej na ratunek pozostałych przy życiu marynarzy z okrętu wyprawy podbiegunowej „Jeannette”. W 1882 r. otrzymał on pozwolenie na przebycie reszty terminu swego zesłania w Selenginsku i gdy w jesieni, 1884 r., i temu nadszedł koniec, mógłby już być powrócić do stron rodzinnych, ale ogołocony był ze wszelkich środków materialnych. Rząd rosyjski nie troszczy się zupełnie o to, jakim sposobem i na jakiej drodze osoby, zesłane administracyjnie na Syberję, mają ztamtąd powrócić po upływie terminu zesłania. Wolno im, co prawda, przyłączyć się do wracających z powrotem do kraju transportów uwolnionych przestępców, lecz te pochody nie łączą się regularnie z eskortami żołnierzy domów etapowych, jak te, które przybywają z Rosyi i posuwają się wolno naprzód.

Inspektor transportu zesłańców do Syberyi Wschodniej, pułkownik Zagarin, opowiadał mi raz, że te pochody zużywają często dziesięć miesięcy czasu na przebycie odległości z Jakucka do Tomska, wynoszącej około 1600 kilometrów. Tylko niewielu z uwolnionych zesłańców politycznych decyduje się na to, aby rok cały przepędzić w tych brudnych, cuchnących i pełnych robactwa domach etapowych, choćby w ten sposób mogli osiągnąć cel swych pragnień: powrót do kraju rodzinnego.

Przekładają oni nad to pozostanie na Syberyi,



o ile nie zdołają zdobyć sobie w inny sposób pieniędzy na podróż. Dopomogłem jednemu zesłańcowi politycznemu do powrotu, kupiwszy od niego za 100 rubli jego herbarium roślin syberyjskich. Chętnie byłbym udzielił pomocy i Samarinowi, ale nie było to mu potrzebne; pracował on mianowicie już wtedy przez rok cały w archiwum w Selenginsku, gdzie porządkował nagromadzone od lat stu trzydziestu dokumenty i opisywał je. Spodziewał się wkrótce ukończyć tę robotę i wtedy otrzymać od gubernatora przynajmniej takie wynagrodzenie, aby wystarczyło na pokrycie kosztów podróży.

Jak wszędzie na Syberji i w Selenginsku korespondencya zesłańców politycznych znajduje się pod kontrolą policyjną. Gdy więc termin zesłania upłynął, Samarin mógł się słusznie spodziewać, że będzie uwolniony od tego przymusu i prosił gubernatora o zdjęcie nadzoru nad listami. Ten sprawę do załatwienia zlecił isprawnikowi, który odrzucił to słuszne żądanie. Samarin więc, choć czas zesłania jego upłynął i zwrócono mu wszystkie jego prawa—nie mógł wysłać lub odebrać listu bez uprzedniego przejrzania tegoż i zaaprobowania przez policyę—haniebnego gwałtu, nad który trudno coś ni-kezemniejszego wymyślić i wykonać.

Podczas mojej rozmowy z Samarinem weszła pani Byszowska, dama lat przeszło trzydziestu, z mądrym, stanowczym wyrazem twarzy, choć niezbyt piękna. Cierpienia, które przeszła, nie minęły bez pozostawienia śladów na jej obliczu i w jej gęstych, czarnych włosach, które obcięto jej podczas odbywania kary w kopalniach, przeglądały tu i ow-

dzie srebrne pasemka. Nie jednak nie mogło podkopać meztwa i siły przekonau tej dzielnej kobiety. Otrzymała ona w domu i w Zürichu wyborne wychowanie i wykształcenie, mówiła po niemiecku, francusku, angielsku i była nawet muzykalną.

Dwa razy zesłano ją do kopalni nad Karą, po raz drugi z powodu wyżej wspomnianej próby ucieczki. Gdy i tę karę odbyła, wyznaczono jej na zamieszkanie nędzną osadę bursacką Selenginsk, gdzie szanowna policya zaszczycała ją szczególną swą uwagą. W całej najbliższej i dalszej okolicy nie było żadnej wykształconej istoty kobiecej, z którą mogłaby utrzymywać jakie stosunki towarzyskie. Na utrzymanie rząd wypłacał jej po 2 ruble tygodniowo; jej korespondencya ulegała kontroli policyjnej; oddzielono ją na całe życie od rodziny, przyjaciół i jednego tylko mogła oczekiwać od przyszłości t. j. pewnej ilości pełnych umartwień lat życia i w końcu samotnego grobu ze skromnym drewnianym krzyżem na odludnym cmentarzu w Selenginsku, na który nie padnie zapewne nigdy nawet wzrok duszy współczującej. A przecież meztwo i otucha, wiara w lepszą przyszłość Rosyi głęboko tkwiły w sercu tej nieszczęśliwej kobiety.

— Umrzemy może na zesłaniu — rzekła mi przy pożegnaniu — być może, że i z naszymi dziećmi i wnukami nie lepiej się stanie, ale ta ofiara nie będzie daremną.

Od tego czasu nie słyszałem nic o pani Bresszowskiej, nie wiem, czy jeszcze jest między żyjącymi. Ale gdy rozmyślam nad jej słowami pożegnalmi, to przychodzę zawsze do przekonania, że ona

to dopiero dała mi poznać, czem jest właściwie męztwo, siła charakteru i zaparcie się siebie. Więcej niż lekarstwa podobne rozmowy krzepiły moje ciało, a prowadziłem je z wielu zesłańcami w tym kraju. Cóż znaczyły moje cierpienia i umartwienia w porównaniu z tem, co ci ludzie dla dobra swego narodu heroicznie przynosili.

We środę popołudniu, 16 października, wyjechaliśmy z Selenginska i dosięgliśmy po 24-godzinnej jeździe odległego o 170 kilometrów miasta powiatowego Wierchnie-Udinska. Było zimno i trzęsienie bryki bardzo mi się dało odezuć przy mym ówczesnym stanie zdrowia, ale czyste powietrze działało orzeźwiająco na mnie i w każdym razie nie czułem się gorzej, niż wtedy, gdyśmy opuszczali Troickosawsk.

W Wierchnie-Udińsku znajdowały się dwa więzienia, które życzyłem sobie zwiedzić. Przedstawiłem się w niedzielę rano isprawnikowi, który przychylił się do mej prośby, i umówiliśmy się, że popołudniu zwiedzimy stare więzienie.

Budowla ta, stary, chylący się ku ruinie dom drewniany leżał na wysokim prawym brzegu Selen-gi, w odległości od miasta około półtora kilometra i służył jako więzienie miejscowe, śledeze i dom etapowy. Nie różnił on się wybitnie od innych domów syberyjskich tego rodzaju, wydawał mi się tylko wyższym i każda cela miała tam galerye, ku której wiodły strome schodki, urządzenie, jakie, prawdopodobnie zaprowadzono w tym celu, aby mieć więcej miejsca do postawienia tapczanów. Wydało mi się także, że więzienie na cześć, na-

szych odwiedzin zostało oczyszczone. Gdyśmy przybyli część więźniów znajdowała się na podwórzu i okna więzienia były szeroko otwarte; podłoga była wprawdzie nie czysta, ale też niezbyt brudna. Więzienie obejmowało pomieszczenie na 170 osób, mieściło jednak w czasie naszych odwiedzin 250; na moje zapytanie przyznał isprawnik, że w późnej jesieni i w zimie liczba ta wzrastała trzykrotnie. Więźniowie leżeli tam stłoczeni na tapczanach, pod nimi, na podłodze, w korytarzach, a nawet na podwórzu. Można sobie wyobrazić ten stan rzeczy: 700 osób w pomieszczeniu, które przeznaczone było dla 170! I zwłaszcza w zimie, gdy okna musiały być zamknięte, aby bliżej nich leżący nie zmarzli. Na ten stan okropny wskazywano zresztą już dawniej, mianowicie w jednej książce, która się ukazała w Moskwie za pozwoleniem cenzury i której autorem był pewien oficer rosyjski nazwiskiem Orsanow. Pisze on tam:

Pierwsze więzienie w kraju Zabajkalskim znajduje się w Wierchnie-Udinsku, za miastem, na stromym brzegu Selengi, oddzielone od rzeki kilku rowami, do których spływają nieczystości z więzienia. Pierwsze, co uczuć się daje przy zbliżaniu się do więzienia, to ostry, nieznośny smród. Jest to stary, dwupiętrowy budynek drewniany z pomieszczeniem dla 140 osób<sup>1)</sup>. Podczas mego pobytu na Syberyi miałem często sposobność odwiedzać to

---

1) Isprawnik podał nam liczbę 170, ale sądzę, że przytoczona powyżej, jest prawdopodobniejsza.

więzienie, nie znajdowało się tam nigdy mniej, niż 500, nieraz nawet więcej, niż 800 więźniów.

Przypominam sobie inspekcję, którą odbywał gubernator kraju Zabajkalskiego i w której mu towarzyszyłem. Było to podczas zimy. Wczesnym rankiem udał się gubernator do więzienia i kazał otworzyć zewnętrzne drzwi od korytarza. Musiał się cofnąć z powodu strasznego zaduchu, który uderzył jego powonienie, choć nie rad był dać poznać więźniom, że są gorzej traktowani od bydła. Dopiero, gdy otwarto drzwi przeciwległe i przeciąg silnie oczyścił powietrze, wszedł on wewnątrz. Pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę był przepelniony nieczystościami kubek w kącie, a przez sufit sączyła się zawartość innego podobnego naczynia, które stało na pierwszym piętrze. W bezpośrednim sąsiedztwie spało sześciu ludzi. Gubernator oburzył się:

— Na miłość Boską, jak w takich warunkach mogą tu ludzie używać spoczynku nocnego! — zawołał.

Nawymyślał dyrektorowi więzienia i urzędnikom, ale zostało, jak było...

Zrobiono mi zarzut, że w mych opowiadaniach przedstawiłem stosunki więzienne na Syberii w świetle przesadzonem. Niesłusznie! Nie gorszego niż ustęp ze wspomnianej książki oficera rosyjskiego nie opisywałem.

I w tem okropnem więzieniu musi przebywać z roku na rok mnóstwo wykształconych mężczyzn i kobiet, zesłanych w charakterze przestępców politycznych do kraju Zabajkalskiego. Tak np. mu-

siała tu zatrzymywać się pani Breszowskaja po drodze do kopalni nad Karą i z powrotem cztery razy. Pocięszalem się zresztą, że barak ten będzie już niedługo istniał.

Już podczas naszego tu pobytu spostrzegliśmy niedawno ukończoną nową budowlę, która przeznaczoną była na więzienie etapowe. Isprawnik opowiadał nam, że gmach byłby już zużytkowany, ale zwłoka nastąpiła z tego powodu, iż nie rozporządzano jeszcze dostateczną ilością żołnierzy do pilnowania więzienia.

Udaliśmy się tedy do nowozbudowanego więzienia etapowego. Był to wielki czteropiętrowy budynek murowany z obszernymi oficynami, szerokim podwórzem i przeznaczonemi na pomieszczenie żołnierzy i więźniów politycznych przybudówkami. Ciele były duże, jasne, przewiewne i dawały widok przez okna pięter wyższych na okolicę. Korytarze były szerokie, schody kamienne zaopatrzone w poręcze. Budowa gmachu kosztowała około 200,000 rubli i obliczona była na pomieszczenie 440 więźniów. Musiałem przyznać przed isprawnikiem, iż w całym państwie rosyjskiem nie widziałem tak doskonale urządzonego więzienia.

— Tak — odpowiedział — będzie ono takim, dopóki nie zostanie przepelnione. Ale—do starego więzienia musieliśmy często przyjmować po 700 więźniów i obawiam się, że w nowym będzie ich być może do 3,000, a wtedy stare zło na nowo się zakorzeni.

Nie wiem, czy się obawy isprawnika w Wierchnie-Udinsku sprawdziły. Nie mogłem przecież się

wstrzymać, by paru słów uznania przy tej okazji nie powiedzieć. Więzienie to rzeczywiście było najlepsze—z wyłączeniem być może Petersburga z tych, jakie widziałem w Rosyi—i pocieszyło mnie przynajmniej odkrycie jakiegoś znaku, dowodzącego, że rząd rosyjski nie jest jednak całkiem obojętny na cierpienia tych, których wysyła na Syberyę.

W poniedziałek opuściliśmy Wierchnie-Udinsk i pojechaliśmy do oddalonego od tego miejsca o 480 kilometrów głównego miasta prowincyi Zabajkalskiej. Powietrze było zimne, ale dawało nam się to odczuć głównie w nocy; niebo było czyste i śnieg wogóle nie padał jeszcze. Z początku droga wiodła między łańcuchem wzgórz przez płaską, pustą i nieurodzajną dolinę Udy. Drzewa były obnażone z liści, nie widać było żadnego kwiatka, nie licząc tu i owdzie ukazujących się, zwarzonych mrozem „lwich zębów.” Wszędzie zima roztaczała już swą władzę surową. Jechaliśmy dniem i nocą, niekiedy zatrzymując się dla odpoczynku lub aby zwiędzić po drodze jaki klasztor buddystów albo nowy dom etapowy. Rząd bowiem w ostatnich czasach ofiarował jakieś 3—400.000 rb. na budowę nowych domów etapowych w kraju Zabajkalskim. Od urzędników transportu zesłańców nie wiele można było usłyszeć na pochwałę tych nowych, bardzo szczyplych budowli, nam jednak wydawało się to wszystko w porównaniu ze stosunkami, jakie panowały między Tomskiem i Irkuckiem, istotnym postępem.

We czwartek 22 października przejeżdżaliśmy pod stacją Domnokluczewska ja na 80 kilometrów od Czyty, przez wysokie wzgórza, które tworzy roz-

dział wodny między rzekami, płynącemi do morza Lodowatego i oceanu Wielkiego. Poczuliśmy się bliżej od ojczyzny, jeśli wziąć pod uwagę odległość wschodnią, a nie zachodnią. W spotykanych wsiach widywaliśmy już wszędzie towary, przywożone z Kalifornii. Naczynia cynowe, latarnie, konserwy, na których widok zdawało mi się, jak gdybym za jakim szczytem górskim miał już ujrzeć San Francisco i Bramę Złotą.

Znużeni, przemarzli i głodni przyjechaliśmy do Czyty i stanęliśmy w prowadzonym przez zesłańca Polaka „Hotelu Petersburg”.

Czyta jest, jak już wspomniano, miastem głównem kraju Zabajkalskiego, rezydencyą gubernatora i ma 4,000 mieszkańców, którzy mieszkają w rozrzuconych, oddzielnie stojących domach. Miasto posiada bibliotekę, dobre szkoły ludowe i duży gmach gdzie czasami odbywają się przedstawienia teatralne. Tak pod względem politycznym, jak i ekonomicznym uchodzi ono za najważniejszy punkt w tej prowincyi.

W historii rosyjskiego systemu deportacyjnego odegrała Czyta ważną rolę. Tutaj zesłano w pierwszej ćwierci naszego stulecia „dekabrystów”, młodych ludzi szlacheckiego pochodzenia, którzy po ustąpieniu w grudniu 1825 r. na tron cesarza Mikołaja uczynili próbę zwalenia dotychczasowego systemu absolutyzmu i wprowadzenia konstytucyi. Istnieją jeszcze dwa baraki, w których mieszkali ci młodzieńcy, i jeden z nich — obecnie obrócony na warsztaty stolarskie — był i później punktem zbornym



dla ludzi, którzy dążyli do tego samego i to samo musieli przecierpieć.

Podczas naszego tu pobytu znajdowało się w Czycie wśród zesłańców kilka bardzo interesujących osobistości. Mieliśmy do nich listy polecające, otrzymane przez nas od współuczestników ich losów w innych okolicach Syberyi i byliśmy przez nich z uprzejmością i ufnością przyjęci. Kilka wieczorów późnej jesieni przepędziliśmy wśród nich i słuchaliśmy ich opowiadań o Rosyi, o twierdzy Petropawłowskiej, o więzieniu w Charkowie i kopalniach nad Karą.

Wskutek nieobecności gubernatora nie mogliśmy tu otrzymać od niego pozwolenia na zwiedzenie kopalni złota nad Karą. Jego zastępca przecież nie miał nic, jak się zdawało, przeciw zwiedzeniu przez nas tych kopalni. Obiecał nam porozumieć się co do tego z komendantem tamtejszym i wręczył nam nawet karty ze swem nazwiskiem, które mogły nam ułatwić tam dostęp. Mimo to nie spodziewałem się, byśmy z łatwością dostać się mogli do osławionych więzień nad Karą; więcej jednak nie mogliśmy żądać i w dniu 24 października pojechaliśmy do oddalonych o 500 kilometrów kopalni.

---

### 3. Kopalnie złota nad Karą.

---

W dzikim kraju Zabajkalskim, oddalonym od Petersburga o 8,000 kilometrów, a o 1,600 kilometrów od Oceanu Wielkiego, w bezludnej dolinie między odnogami gór Jabłonowych, znajduje się pewna ilość więzień, kolonii karnych i kopalni złota, które znane są w Rosyi pod mianem „kopalni nad Karą“. Jeżeli gdzie ogłaszają, że cesarz raczył tego albo owego, skazanego na śmierć nihilistę ulaskawić, to podtem rozumie się zesłanie do kopalni nad Karą.

Dwie trzecie drogi z Czyty do Kary wiedzie po dobrej drodze pocztowej, początkowo doliną Ingody, później lewym brzegiem Szyłki, dopływu Amuru. Pod miasteczkiem Sretyńskim staje się ostatnio wymieniona rzeka splawną i tu kończy się droga pocztowa; komunikację z kopalniami nad Karą od tego miejsca utrzymują wlecie czółna a w zimie sanie, na których przebywa się zamarzniętą rzekę. Na wiosnę, w jesieni, podczas kry

kopalnie nad Karą często całemi tygodniami odcięte są od wszelkiej komunikacji ze światem, można wtedy dostać się do nich tylko jedną nader uciążliwą i niebezpieczną drogą okólną, która wiedzie wdłuż rzeki przez strome, lesiste góry. Spodziewaliśmy się dojechać do Sretyńska jeszcze zawczasu, aby móżd puścić się dalej w górę rzeki na łodziach i dojechać do kopalni i przy naszym wyjeździe z Czyty wydawało się to jeszcze wykonalnem. Ale nastąpiła nagle zmiana pogody, zaczął padać śnieg, zrobiło się zimno i gdyśmy we środę rano przybyli na brzeg Szyłki, z tej strony od Sretyńska, zima rozwinęła całą swoją władzę. Termometr Fahrenheita wskazywał zero, nasze futra i szersć na koniach pokryły się szronem i Szyłka tak była krą lodową pokryta, że wszelka komunikacya przez nią stała się niemożliwą. Wielki prom zrobił wtedy niebezpieczną próbę przebycia rzeki od Sretyńska i kilku włościan, którzy po naszej stronie zgromadzili się około rozpalonego ogniska, patrzyło na to w oczekiwaniu, że może im się uda namówić przewoźnika, aby z nimi po przybiciu promu do brzegu, odważył się napowrót przepłynąć do Sretyńska. Przyłączyliśmy się do nich.

Przez kwadrans obserwowaliśmy walkę promu z odłamkami lodu i przyszlismy wreszcie do przekonania, że byłoby jednak zbyt niebezpiecznie w ten sposób przeprowiać się przez szeroką, pokrytą krą rzekę, nawet gdyby się na to zdecydował przewoźnik. Poszukaliśmy więc u sąsiedniego włościanina przytułku na noc, którego udzielono nam chętnie, pozwalając się przespąć na ziemi obok in-

nych członków rodziny. Byliśmy zbyt znużeni i przeziębli na to, aby być zbyt wybrednymi; zresztą przyzwyczailiśmy się już tak do nocowania na ziemi, że lepsze legowisko wprawiloby nas w zdumienie. Znieśliśmy do chaty nasze bagaże i wkrótce potem siedzieliśmy w pierwszej porządnej izbie, jakiej nie widzieliśmy od naszego wyjazdu z Nerczyńska, z zadowoleniem popijając herbatę.

Interesowała nas kwestya w jaki sposób dostaniemy się do kopalni nad Karą. Podróż po rzece była zaledwie możliwa za dwa albo trzy tygodnie i aby czekać tak długo, brak nam do tego było cierpliwości i czasu. Jedyne możliwem było przebyć góry konno. Włościanin wspomniał nam, że z tej strony rzeki były konie, przyzwyczajone do takiej podróży, ale ich właściciel mieszka w Sreteńsku i tam tylko można je było u niego wynająć i zaopatrzyć się w siodła oraz przewodnika. Przy wielkiem nagromadzeniu kry na rzece, przeprawa przez nią nie była bezpieczną, gospodarz jednak nasz mniemał, że mógłby sam z kilku swymi ludźmi przewieźć nas szczęśliwie.

We czwartek rano zrobiliśmy próbę. Drobną płynącą kra pokrywała rzekę; u brzegu utormowała się szeroka na 30 do 40 metrów tafla lodowa, która stawiała się coraz cieńszą w miarę zbliżania się do łożyska prądu rzeki. Przyciągnęliśmy łódź ku brzegowi i szliśmy po lodzie ostrożnie, gotowi w każdej chwili w nią skoczyć, gdyby się lód począł pod naszymi stopami łamać. Gdyśmy uszli zaledwie pięć metrów od brzegu, lód ugiął się pod nami i wnet pękł z głośnym trzaskiem. „Do lo-

dzi!“ — zawołał włościanin przestraszony. Wskoczyliśmy do niej szybko, łódź przechyliła się w jedną, potem w drugą stronę, ale szczęściem nie wywróciła się. W chwilę potem płynął nasz wątył statek z biegiem rzeki, wśród trzeszczącej kry drobnej, którą staraliśmy się odrzucać przy pomocy wiosel i drągów.

Dwóch ludzi pracowało wiosłami, włościanin kierował sterem bardzo zręcznie. — Około jednego kilometra prąd nas niósł w ten sposób, zanim udało się nam zbliżyć, przeryzując się wśród obłamków kry, do przeciwnego brzegu. Tu znowu rozpościerała się jednolita stała powłoka lodowa, ale wylądowanie na nią przedstawiało się jeszcze niebezpieczniejszem, niż przy odjeździe. Podczas gdy za pomocą haków usiłowaliśmy zaczepić się o powierzchnię lodową, naszą łódź mogła uszkodzić kra lub też ją wywrócić. Wreszcie udało nam się doprowadzić łódź do miejsca dość bezpiecznego, włościanin wyskoczył z niej i przymocował statek, po czem ja, wskutek niezręcznego skoku, wpadłem po biodra w wodę. Gdym się wyswobodził i dostał na brzeg, kazałem łódź wyciągnąć z wody i pośpieszyłem do miasta, choć zimna kąpiel w tym czasie mogła dla mnie pociągnąć złe następstwa.

Gdym się tam dostał, osuszył odzież i ogrzał, zawiadomiłem telegraficznie sekretarza naszego poselstwa w Petersburgu, o miejscu naszego pobytu i poszedłem wynająć konie, kupić przybory do konnej jazdy zaopatrzyć się w przewodnika i inne jeszcze rzeczy. Popołudniu powróciłem w taki sam niebezpieczny sposób do chaty włościanina.

W piątek wczesnym rankiem osiodlaliśmy konie, by się udać do kopalni nad Karą. Nasz cały bagaż stanowiły koldry podróżne, papiery, nieco prowiantu i aparat fotograficzny. Zrobiło się znowu cieplej i termometr wskazywał 18 stopni Fahrenheita; ale niebo było pochmurne, gęsty śnieg wirował w powietrzu i odczuliśmy trochę niepokoju, gdyśmy się dostali na pierwszy szczyt i ujrzeliśmy naokoło pustynię górską, jaką musieliśmy przebyć. Niepokój nasz zresztą nie był bezpodstawny. — Czulem się jeszcze dość słabym po przebytej chorobie i obawiałem się, aby przejechanie wierzchem przeszło 130 kilometrów w porze zimowej, nie osłabiło mię do reszty; prócz tego byliśmy także do tego rodzaju podróży niedostatecznie przygotowani. — Sądziłyśmy, że pojedziemy po Szyłce, zaniedbaliśmy zaopatrzyć się w wory futrzane. Nasze baranie kożuszki były dość krótkie i nie pokrywały kolan; nie mieliśmy kapturów futrzanych, a nasze buty filcowe były za szerokie, aby się mogły pomieścić w strzemionach i musieliśmy się albo pozbyć tych butów, albo strzemion. Szczyściem drożyna górską nie była zbyt uciążliwa i powietrze niezbyt zimne. Przejechaliśmy przeszło 30 kilometrów bez szczególnych trudności.

Noc przepędziliśmy w Lomi, wiosce na brzegu Szyłki. Przenocowaliśmy tam w chacie włościańskiej, naturalnie na ziemi, obok dwóch osób dorosłych i pięciorga dzieci. W sobotę rano udaliśmy się w dalszą podróż na świeżych koniach i z innym przewodnikiem. W ciągu nocy wypogodziło się,

ale i zrobiło się zimniej; konie nasze pokryły się szronem i u nozdrzy wisały im sople lodu.

Od Łomi droga nasza stała się o wiele uciążliwszą. Drożyna wiła się przez strome, gołe wzgórza, wyginała się tu i owdzie ku północy dla minięcia rozpadlin i przepaści, wiodła przez strome pochyłości i skały, wznoszące się wysoko ponad pokrytą lodem Szyłką, gdzie potknięcie się lub osunięcie konia mogło nas zrzucić w głębiny rzeki.— Jednak dzięki szczególnemu szczęściu obeszło się bez wypadku. Konie nasze nie były podkute na ostro i przytem drogę w wielu miejscach pokrywał lód, powstały ze zmarzniętej wody górskiej, a na nim leżał śnieg; było więc na stromych pochyłościach, nawet przy troskliwym próbowaniu, nie możliwem do przewidzenia, czy zwierzęta utrzymają się na nogach. Przez cały dzień pierwszy a nawet następne, zmuszeni byliśmy iść obok koni, najprzód dlatego, że potakiej niebezpiecznej drodze wydawało nam się nierozsądnem pozostawać na siodłach, a potem, że było to przytem zimnie wogóle prawie niemożliwe.

Ta trzydniowa podróż górską, częścią na koniu, częścią odbywana pieszo przy dość niskiej temperaturze wyczerpała zupełnie moje siły i gdyśmy w niedzielę o późnej godzinie dosięgli wioski Szilkina, słabe bicie puls'u przekonało mnie, że siły fizyczne były na wyczerpaniu.

Ale znieśliśmy już najgorsze! Najdalej na południe posunięte siedlisko skazańców, Ust'Kara, oddalone było od Szilkinej zaledwie o 8 kilometrów i droga, która doń wiodła, nie przedstawiała

žadnych nadzwyczajnych przeszkód. W poniedziałek w południe przybyliśmy nakoniec do wsi, położonej przy ujściu Kary, zeszliśmy z naszych znużonych zwierząt i nawpół skostniałi, schroniliśmy się do chaty włościańskiej, której mieszkaniec był znajomym naszego przewodnika; tu wypoczęliśmy.

Kopalnie nad Karą stanowią własność prywatną cesarza i eksploatują się na jego korzyść.— Ujrzeliśmy tu przede wszystkim szereg płóczkarni złota, leżących w nierównych odstępach na brzegu małej, ale bystrej rzeki górskiej Kary; bierze ona początek na rozdziale wodnym gór Jabłonowych, biegnie w kierunku południowo-wschodnim około 70 kilometrów i wpada wreszcie między Sretin-skiem i ujściem Argunu do Szyłki.

„Kara” znaczy po tatarsku „czarny;” ta nazwa nadawana była pierwotnie tylko rzece, ale zastosowano ją później do całego obrębu kopalni, więzień, kolonii karnych; mają one zresztą jeszcze bliższe określenia. Ciągną się tedy wzdłuż rzeki w kierunku z północy na południe: Ust' Kara (ujście kary), niższe więzienie, więzienie politycznych, niższa płóczkarnia złota, środkowa Kara, wyższa Kara i wyższe albo amurskie więzienie.

Cały zarząd koncentruje się przy „niższej płóczkarni.” Tu mieszka dyrektor więzień dla pospolitych przestępców, tu znajduje się kolonia karna dla 200—300 skazańców, a także koszary dla dwóch rot żołnierzy. Miejscowość ta wydała mi się najodpowiedniejszą dla nas na cały czas pobytu tutaj, gdyż byliśmy tu w sąsiedztwie dyrektora bez jego zaś zgody uciecgo nie mogliśmy przedsiębrać, i przy-



tem byliśmy tylko o pół godzinki drogi oddaleni od skazańców politycznych, którzy najwięcej mnie interesowali.

Odprawiliśmy tedy w Ust' Kara przewodnika i konie, i pojechaliśmy, po odpoczynku, bryczką do „niższej płóczkarni.“ Droga wiodła po prawym brzegu Kary, przez niebardzo głęboką, ani zbyt szeroką dolinę, okoloną wzgórzami, porośłymi młodym zagajnikiem iglastym. Ziemię pokrywały liczne i wielkie kupy żwiru i piasku, pozostałe po wypłókananiu z nich zawartości złota.

O zmroku dojechaliśmy do „niższej płóczkarni,“ dość wielkiej wsi, której niskie chaty z drzewa, rozrzucone były dookoła długich baraków, służących za koszary, oraz domów dla oficerów, z dachami z blachy, wreszcie starego więzienia, budowli podobnej do innych więzień tego rodzaju we Wschodniej Syberyi.

Budynki te rozłożone były dość regularnie przy szerokich ulicach, lub naokoło placów i stanowiły wpadający w oczy kontrast z chatami dla skazańców. Na jednym z obszernych placów, gdzie znajdowały się koszary i więzienia, około półsetki więźniów w swych szarych kaftanach z żółtymi znakami na plecach pracowało właśnie przy budowie.

Pilnował ich oddział kozaków, uzbrojonych w berdanki, którzy stali przy nich, opierając się na karabinach. W niewielkiem oddaleniu gorzało ognisko, nad którym wisiał kociołek do herbaty i około tuzina kozaków leżało naokoło w niedbalej pozie. Pokryty śniegiem plac, chmurni pracujący skazańcy,

straż kozacka i leżący naokoło ogniska żołnierze — wszystko to razem, wśród mrocznego wieczoru późnej jesieni, wywarło na mnie przygnębiające wrażenie.

Pojechaliśmy najprzód do dyrektora, aby się przedstawić i zapytać, gdzie tu możemy zamieszkać. Dyrektor, major Potulów, okazały mężczyzna w wieku lat 50-ciu, przyjął nas bardzo uprzejmie i zaznaczył, że właśnie otrzymał wiadomość o zamiarze naszym przybycia tutaj, od zastępcy gubernatora z Czyty, sądził jednak, że porzuciliśmy, tę myśl wobec ustania żeglugi na Szyłce. Że obcy podróżnicy przy takiej pogodzie i po takiej niebezpiecznej drodze zdecydują się podróżować, wydało mu się to zupełnie nieprawdopodobnem. Ale oświadczył, że nas widzi z radością i ofiarował nam gościnę w swym domu. Podziękowałem mu i odpowiedziałem, że nie życzymy sobie kępować go i zadowolni nas zupełnie, jeśli nam wskaże, gdzie byśmy mogli tu zamieszkać. Objaśnił nas z uśmiechem, że nad Karą znajdują się tylko oberże, które rząd uznał za potrzebne urządzić dla morderców, złodziei i fałszerzy, powinniśmy więc przyjąć jego zaproszenie bez ociągania się i będziemy się czuli u niego bardzo dobrze. Było to z jego strony nader uprzejmie, ale dla mnie, ze względu na cel naszej podróży, było to niepożądane.

W domu jego znajdowalibyśmy się w pewnej mierze pod ciągłym nadzorem urzędowym i byłoby dla nas zaledwie możliwem wejść w stosunki ze skazańcami politycznymi. Ale nie mieliśmy wyboru, musieliśmy więc przyjąć to zaproszenie i wkrótce

zamieszkaliśmy w pięknie i wygodnie urządzonej domu i znowu korzystaliśmy przez długi czas z wielkich zwierciadeł, miękkich dywanów, wygodnych mebli a nawet fortepianu.

W czasie naszego pobytu w okręgu Kary znajdowało się około 1800 skazanych na roboty przymusowe. Połowę tej liczby umieszczono w więzieniach, pozostali zaś mieszkali w chatach drewnianych lub barakach.

Według sprawozdania zarządu więziennego znajdowało się tam od końca 1885 r., a więc od dwóch miesięcy, licząc do naszego przybycia, 2507 osób. Liczba ta obejmuje jednak kobiety i dzieci, które dobrowolnie towarzyszyły swym mężom i ojcóm i których ilość mogła wynosić od 600 do 800.

Czas kary skazańca w kopalniach nad Karą można podzielić na dwie części. W pierwszej trzymają go w więzieniu i gdy potrafi tu zdobyć zadowolenie przełożonych uwalniają go z pod zamknięcia i zaliczają do „wolnej komendy.” W „wolnej komendzie” jest on wprawdzie ciągle jeszcze, skazanym na roboty przymusowe przestępcą, otrzymuje wciąż jeszcze codziennie posiłek, tak jak w więzieniu i nie może wydalić się ani na krok poza obręb wyznaczony na mieszkanie bez pozwolenia, ale może on z innymi podobnymi skazańcami mieszkać w oddzielnych barakach, albo ze swoją rodziną zajmować chatę, może w wolnych godzinach pracować dla siebie, korzysta więc z pewnego, choć bardzo ograniczonego, stopnia wolności. Gdy przejdzie czas wyznaczony i z nim właściwa kara się skończy, to wysyłają go zazwyczaj jako koloni-

stę przymusowego do jakiej miejscowości w Syberyi Wschodniej.

Znajdowało się wtedy w okręgu Kary siedem więzień, które wzdłuż rzeki Kary ciągnęły się na przestrzeni 30 kilometrów.

W poszukiwaniu złota siedliska kolonii oddalały się od koryta rzeki i ponieważ niemożliwym się stało obciążonych kajdanami skazańców codziennie zmuszać do odbywania długich dróg tam i z powrotem, wielu więc przedtem musiało beczynnje pozostawać w więzieniu. Więzieniami zarządzali dozorca, których zwierzchnikiem był major Potulow; straż stanowił oddział około 1000 kozaków, którzy należeli do bataljonu karskiego. Dwa więzienia dla przestępców politycznych, jedno przeznaczone dla mężczyzn przy „niższej płóczkarni złota,“ drugie dla kobiet w Ust' Karze, nie były podwładne majorowi Potulowowi, ale kapitanowi żandarmeryi Nikolinowi, który przysłany został w tym celu z Petersburga i stał na czele wybranej straży więziennej ze 140 żandarmów. I przestępcy polityczni mieli swoją „wolną komendę“ i w czasie naszego pobytu składała się ona z około 15 mężczyzn i kobiet, którzy mieszkali w chatkach w „niższej płóczkarni złota.“

Wszystko to nie było nam znane do przybycia naszego do okręgu Kary i staraliśmy się potem nagiąć nasze postępowanie do tych stosunków. Przedewszystkiem zamierzyliśmy zwrócić uwagę na więzienia zwyczajnych przestępców i obserwować ich przy pracy; następnie chcieliśmy poznać przestępców politycznych, żyjących w „wolnej komendzie,“

wreszcie zwiedzić więzienia „politycznych,” aby przyjrzeć się ich trybowi życia. Że nam pozwolą na rozmowy z nimi, nie mogliśmy się tego spodziewać. Co do pierwszego, nie wątpiłem, że się nam to uda, co do drugiego, miałem tylko nadzieję, że to osiągnę, ale co do trzeciego, nie mogłem mieć nadziei, byłem jednak zdecydowany zrobić wszystko, aby to osiągnąć.

Nie wiedziałem, czy major Potnłow otrzymał jakie co do nas wskazówki i jeśli tak było, to jakiego rodzaju być one mogły. Traktował nas bardzo uprzejmie, nie stawiał nam żadnych niewłaściwych pytań i gdym dnia jednego po naszym przybyciu wyraził życzenie obejrzenia więzień i kopalni ani nie zdziwiło go to, ani też nie zwlekał z udzieleniem pozwolenia, ale nawet oddał nam do rozporządzenia swój powóz, zaznaczając, że z chęcią chciałby nam towarzyszyć.

Wystarczyć powinno, jeśli opiszę tu dwa ze zwiedzonych w okręgu karskim więzień, najgorsze ze wszystkich i najlepsze.

Za najgorsze z tych gmachów więziennych można uważać więzienie w Ust' Karze. Leży ono nisko, na gruncie błotnistym, na granicy kolonii, w tem miejscu, gdzie Kara wpada do Szyłki. Zbudowano je w pierwszej połowie naszego stulecia, w owym czasie gdy rząd rosyjski dopiero zaczynał zatrudniać pracę w kopalniach złota skazańców. Tworzy ono wraz ze swoim oparkanionym dziedzińcem czworokąt około 35 metrów długości i szerokości. Z dwóch stron otaczają ów czworokąt zabudowania, inne zaś dwie strony zamykają grube, wv-

sokie pale. Gdyśmy się zbliżyli do bramy ukazał się wartownik i zawołał na dyżurującego podoficera zwykłym „starsziji!“ Kapral kozacki nadszedł zaraz i otworzył jednym z pęku kluczy małą furkę, znajdującą się w wielkiej bramie. Weszliśmy do wewnątrz.

Kilku więźniów z na wpół ogolonemi głowami śpieszyło przez podwórze do swych celi. Podnieśliśmy się po kilku, pokrytych błotem i lodem stopniach w górę i dostaliśmy się przez masywne drzwi na długi, niski i ciemny korytarz, którego podłoga była śliska, a powietrze w nim ciepłe, wilgotne i przesycone jakimś ostrym zapachem, stanowiącym znamioną cechę wszystkich więzień syberyjskich. Kto odczuł kiedy raz ten zapach, ten napewno nigdy o nim nie zapomni i nie da on się porównać ze wszystkimi innymi zemi zapachami. Przedstawmy sobie duszne powietrze piwniczne, którego każda cząstka już niejednokrotnie służyła do oddychania, tak, iż przesycona jest siarkowodorem i dodajmy jeszcze do tego amoniakalne wyziewy wielu przez długi czas nie kąpanych ciał, przykrą woń butwiejącego drzewa i nieczystości ludzkich—wtedy można utworzyć sobie przybliżone pojęcie, z czego się taka atmosfera składa. Kto nie jest przyzwyczajony do pewnego stopnia do tego przesyconego wszelkiego rodzaju chorobliwemi zarodkami powietrza, dla tego jest ono nie do zniesienia nawet na krótką chwilę. Gdyśmy wstąpili na śliską podłogę korytarza i zaledwie wciągnęliśmy w siebie pierwsze tchnienie tej atmosfery, zwrócił się do

mnie Potulów z wyrazem obrzydzenia na twarzy i zawołał: „wstrętne więzienie”!

Kapral, który nas poprzedzał, otworzył masywne drzwi drewniane od pierwszej celi i zawołał: „eicho!” zwyczajne napomnienie dozorey więziennego, gdy oficer odbywa przegląd aresztantów.

Weszliśmy do pomieszczenia, mającego około 8 metrów długości, 7 metrów szerokości i służącego za miejsce pobytu dla 29 więźniów. Tu powietrze było o wiele jeszcze gorsze, niż w korytarzu, omal nie przyprawilo mnie ono o mdłości. Dwa zakratowane okna celi nie mogły być w żaden sposób otwierane, nie istniało również żadne urządzenie do wentylacji. Ściany może były kiedyś bielone, obecnie jednak były czarne od brudu i pocentkowane w wielu miejscach krwią tępionego robactwa. Podłoga była zamieciona, ale gruby ślój błota przywarł do desek na stałe. Tapezany stały przy trzech ścianach, tłoczyli się na nich więźniowie z głowami, zwróconymi do ściany, śpiąc na nich bez pościeli. Prócz tapezantów, murowanego pieca i kubła do nieczystości nie było żadnego innego urządzenia w celi.

Przebyliśmy w pierwszej celi tylko dwie albo trzy minuty. Byłem pierwszy, com z niej uciekł; pozostało mi w pamięci dotąd uczucie ulgi, z jaką odetchnąłem na korytarzu. Że zepsuta atmosfera korytarza mogła na mnie podziałać oświeżająco, to daje pojęcie o tej, jaka panowała w celi. Szybko zwiedziliśmy potem siedem innych cel więzienia, które różniły się od pierwszej chyba objętością i liczbą więźniów. Ta straszna atmosfera była wszędzie jednakowa i następstwa tego można było zobaczyć

w oddziale dla chorych: skorbut, tyfus, niedokrwistość i suchoty płucne były tu, jak w większości szpitali więziennych syberyjskich, panującymi chorobami. Każdy lekarz więzienny wiedział dobrze, gdzie jest źródło tego zła i żaden nie czynił próby, aby je usunąć. Lekarz więzienny rzekł do mnie: „Skorbut panuje u nas rok cały. Zwiedził pan cele i może sąd o tem sam wydać. Przy tym brudzie i przepelnieniu muszą choroby szerzyć się epidemicznie. Mamy tu 140 chorych, na wiosnę wzrasta ta liczba do 250.”

Dawniej było jeszcze gorzej. W 1857 roku chciał osławiony Razgildiejew wydobyć dla cesarza z kopalni nad Karą 100 pudów złota i wtedy zachorowało i zmarło przeszło tysiąc więźniów na skorbut, tyfus i z przepracowania. W dziesięć lat później panował, jak opisuje S. Maksimow w swej książce „Syberya i roboty przymusowe” — „ten sam stan rzeczy, istniały jeszcze te same więzienia i rozżył się ten sam skorbut.” I gdy jeszcze w dziesięć lat później przybyliśmy do okręgu karskiego, usłyszeliśmy: „Skorbut panuje u nas rok cały!” — Ilość zapadnięć na choroby w szpitalach nad Karą w 1886 r. wyniosła, wedle sprawozdań urzędowych, 4208, co daje cyfrę przeciętną dziennie 117.

Ale w wykazach urzędowych nie zaznaczają bardzo wielu wypadków choroby. Wielu skazańców, nie należących do „wolnej komendy,” leży w swoich chatach, a także ci chorzy, którzy pozostają w celach dlatego, że stan ich nie wydaje się zbyt ciężki, albo z powodu przepelnienia szpitali nie figurują w obliczeniach. Nie jest rzadkością, że wię-



zien w pierwszym stadium szkorbutu leży parę tygodni w celi i zaraża zdrowych współ-więźniów.

Gdyśmy obejrzeli cele męskie, wyszliśmy wreszcie na wolne świeże powietrze dziedzińca i przeszliśmy przezeń, by zwiedzić więzienie kobiece. Znajdowało się ono w podobnym, ale o wiele mniejszym budynku drewnianym, który zawierał dwie cele. Były one cieplejsze, jaśniejsze i nawet wyższe, niż tamte, ale na ogół nie o wiele lepsze. Podłoga była pełna dziur i prawdopodobnie wyrzucały tam kobiety brud i nieczystości. Nachyliłem się, aby się przyjrzeć bliżej jednej z tych dziur, gdyż panująca tu ciemność nie pozwalała dobrze widzieć, powonienie za to cierpiało tem więcej. Duszne, przesycone zgnilizną powietrze było tak przykre, że musiałem zatrzymywać oddech. I te cele, które mieściły po 48 osób płci żeńskiej—wiele z nich miało jeszcze chore dzieci na ręku—nie były lepiej urządzone, niż inne, i tu także nie było śladu pościeli.

Podczas naszego obchodu szturmowali biedni więźniowie do majora Potulowa z prośbami i skargami. Jeden z więźniów naprzykład podczas transportu w stanie jakoby pijaństwa „zamienił” swe nazwisko i musiał wziąć się do robót przymusowych, zamiast mieszkać gdzieindziej, jako kolonista karny; prosił on o zmianę kary. Drugi mniemał, że nabył już prawa, aby żyć w „wolnej komendzie,” inni znowu skarżyli się, że pozostają już przez całe miesiące w więzieniu i nie wiedzą, dlaczego. Wielu zwracało się także do mnie w mniemaniu, że przybyliśmy tu na inspekcję. Aby majorowi oszczędzić zakłopotania, a więźniom być może także kary, nie

zaniedbywałem wyjaśniać więźniom, jak mogłem najpośpieszniej, że nie w mojej sile jest przyjsie im z pomocą, że jesteśmy tylko zwyczajnymi podróżnikami, którzy pragną jedynie obejrzeć więzienie!

Zły stan więzień i mnóstwo skarg ludzkich wprawiały majora Potulowa, jak się zdawało, w zły humor. Stawał się coraz więcej milezącym i nie czynił najmniejszego usiłowania, aby stosunki wystawić w lepszym świetle. Nie zapytywał się też nas ani wtedy, ani później o zdanie nasze o stosunkach więziennych; mógł on się zresztą łatwo domyślać, co o tem sądzimy.

W innym odosobnionym dziedzińcu znajdowało się więzienie dla kobiet, osądzonych za winy polityczne. Na zwiedzenie tej części trzeba było otrzymać pozwolenie od kapitana żandarmeryi Nikolina. To, czego dowiedziałem się potem o tej części więzienia pozwoliło mi mniemać, że jest ono tam czystsze i nie tak przepełnione, jak cele dla zwyczajnych przestępców, ale, że mimo to, nie jest ani wygodniej, ani korzystniej dla zdrowia urządzona.

W czwartek po południu zwiedziliśmy więzienie, położone nad środkową Karą i okazało się ono najlepszem ze wszystkich, znajdujących się w tej tokolicy. Leżało ono w odległości około 5 kilometrów od niższej płóczkarni złota; droga do niego wiodła po prawym brzegu Kary, przez pustą, pokrytą śniegiem dolinę, wśród której znajdowało się kilka nędznych chat, rozrzuconych tu i owdzie dla mieszkających na stopie „wolnej komendy.” Było dla mnie trudnem do pojęcia, jak w takich schroni-

skach, w chatach, skleconych na prędcie z okrągłaków i desek, mogli ludzie przepędzać srogie zimy syberyjskie.

Utworzenie „wolnej komendy” miało na celu zachęcić skazańców do poprawy i dać im możność przez dobre prowadzenie się uzyskać ulgi w swem położeniu. Nie sędzę, by to pomagało do uwolnienia, przeciwnie! „Wolna komenda” działa raczej na większą deprawacyę i rozwijanie się pijaństwa i innych złych nałogów. Nawet i ta okoliczność, że kobietom i dzieciom pozwala się towarzyszyć ich blizkim na Syberyę, źle wpływa na obyczajność. Tym kobietom i dzieciom rząd wydaje zapomogi wtem mniemaniu, że będą one wywierały później na skazańcu w domowem pożyciu wpływ uszlachetniający. Ale większość tych kobiet i dziewcząt prowadzi w koloniach karnych niemoralny tryb życia; psują je tutaj nawet wtedy jeśli życie na etapach nie wywarło zbyt szkodliwego wpływu na ich moralność. Skazaniec, który się dostał do „wolnej komendy,” tylko w nader rzadkich wypadkach ma chęć urządzenia się na stałe w swem miejscu pobytu. Wie on, że czas jego kary nie przeciągnie się już zbyt długo, że wtedy jako kolonistę karnego wyślą go do jakiejś innej miejscowości Syberyi, przyczem utraciłby on owoce swej pracy tutaj. Celem więc jego dążeniem jest jaknajmniej pracować i, o ile to możliwe, dawać wodze wszystkim swym złym nałogom.

Znaczna część skazańców pragnie, by się dostać do „wolnej komendy” tylko dlatego, że może się tam nadarzyć sposobność, sprzyjająca ucieczce.

Corocznie, gdy nadejdzie lato, uciekają oni licznie do lasów i usiłują przedrzeć się przez nie do jeziora Bajkału. Głos kukulki jest dla nich sygnałem do ucieczki, w żargonie „brodjag” syberyjskich nazywa się to „otrzymać rozkaz od generała Kukulki”.

Okolo 300 skazańców z „wolnej komendy” spełnia corocznie rozkaz „generała Kukulki”. Wielu ze skazańców z okręgu karskiego, którzy zbiegli na wiosnę, powraca w jesieni po ujęciu ich na nowo, pod innemi nazwiskami i w kajdanach, ale zadawała ich choć to, że oddychali przez kilka miesięcy na wolności świeżem leśnem powietrzem. Wielu skazańców nie może się oprzeć chęci ucieczki, wewnętrzna jakaś żądza peha ich do bezdrożnych lasów i na szerokie stepy Syberyi wschodniej. Wiedzą oni bardzo dobrze, że udana ucieczka jest prawie niemożliwa, wiedzą bardzo dobrze, że muszą uciekać jak zwierz dziki, ścigany na polowaniu, że całemi miesiącami żywić się muszą jagodami i korzonkami, że w każdej godzinie narażają się na śmierć i mimo to — zaledwie usłyszą pierwsze wołanie kukulki, nieprzeparta jakaś siła popycha ich do ucieczki. „Miałem dawniej za służącego jednego więźnia”, opowiadał mi pewien urzędnik więzienny w okręgu karskim, „który był zawziętym „brodjagą” i nieraz uciekał tylko dlatego, że nie mógł się dłużej obejść bez życia włóczęgi. Musiał on zawsze znosić w swych wycieczkach włóczęgowskich jaknajwiększe umartwienia i wiedział, że nie może wydostać się z Syberyi, ale uciekał bezustannie po to, aby po niejakiu czasie sprowadzono go

napowrót w kajdaniach i poddawano karze surowej. I tak doszedł do starości. Jednego dnia przyszedł on do mnie—należał wtedy do „wolnej komendy”—i poprosił mnie, abym go kazał zamknąć. Zdziwiony tem, tak szczególnem, żądaniem, popatrzyłem na niego i spytałem, co zamierza uczynić. „Nic, naprawdę, nie!” twierdził, „ale panu wiadomo, że jestem „brodjagą”, uciekałem już nieraz i zrobiłbym to napewno znowu; jestem jednak już stary i nie mogę znosić tak, jak dawniej, życia wśród lasów. Niech więc każe mnie pan zamknąć, nie mógłbym wytrzymać, gdybym usłyszał wołanie „generała Kukulki”.—Spełniłem jego życzenie i przetrzymano go większą część lata pod kluczem. I gdy lato minęło, porzuciła go żądza włóczęgostwa i zachowywał się zupełnie spokojnie”.

Nie bez wzruszenia wysłuchałem tego opowiadania o starym „brodjadze”. Podobnie jak Odyseusz, który kazał się przywiązać do masztu, aby się nie poddać słodkim ponętom wabiących syren, kazał się starzec wtrącić do więzienia, aby go nie wywabił głos kukulki na świat, z którego złuda wolności nęciła go z oddali.

Ale rodzi się tu pytanie, jak się to dzieje, że tak pilnie strzeżeni więźniowie potrafią jednak uciekać. Jest to w gruncie rzeczy mniej trudne, niż by się zdawać mogło. Chaty „wolnej komendy” nie są strzeżone i nie otaczają ich żadnym kordonem, nie trudno więc więźniowi, zaoszczędzwszy sobie nieco zapasów żywności, w nocy odważyć się na ucieczkę. Prócz tego dla wielu z dozorców więziennych ucieczka taka nie jest niepożą-

dana, gdyż mogą oni wyciągnąć z niej pewną korzyść. Zamilezają oni o tem i pobierają czas jakiś punktualnie przeznaczone dla zbiegłych odzież i żywność, które potem znowu sprzedają dostawcom. Tak, iż zdarza się, że rząd powtórnie otrzymuje te przedmioty i płaci za nie po raz drugi. Dla oszukańczych urzędników przedstawia każdy zmarły lub zbiegły skazaniec pewną sumę dochodu, dopokąd daje się ukryć ten ubytek lub utrzymać na liście nazwisko nieobecnego. Z ich strony rzadko się można spodziewać, by zbyt energicznie przeszkadzali usiłowaniom ucieczki, lub robili nadzwyczajne wysiłki celem ujęcia na nowo zbiegłych...

Więzienie nad średnią Karą znajdowało się w kolonii tegoż nazwiska. Był to niezbyt obszerny barak jednopiętrowy; front wychodził na ulicę, inne ściany okalała wysoka palisada; otaczała ona czworokątne podwórze. Na zewnątrz i wewnątrz więzienie to było dość podobne do takiegoż w Ust'-Karze, tylko budynek, jak się zdawało, nie był tak stary i znajdował się w lepszych warunkach sanitarnych. Podczas pobytu naszego większość więźniów pracowała w Wyższej Płóczkarni złota, nie mogłem więc z tego powodu przy obejrzeniu przekonać się, czy i tu panowało takie same przepelnienie, jak w innych więzieniach. Major Potulow oświadczył mi na moje zapytanie, że mieściło się w niem wówczas 107 więźniów. Niewielu, którzy pozostali, musieli zostać z powodu choroby, albo dlatego, że ich obecność była potrzebna do wykonywania czynności gospodarskich, jak gotowanie, czyszczenie. Powietrze było tu wprawdzie również

duszne, ale znacznie czystsze, niż w Ust'karze, można było przynajmniej, bez przezwyjęcia odrazy, niem oddychać. Nie czuło się w tym stopniu charakterystycznego, wspomnianego wyżej, zaduchu więziennego, ale zdawało mi się, że usiłowano tenże przygłuszyć przez woń zatkniętych nad tapezowanymi na ścianach świeżych gałęzi jedliny. W niektórych miejscach powieszono na gałęziach tabliczki z kartonu z napisami, wyjętymi z biblii. Tak czytałem tam np.: „Wy, którzy jesteście znużeni i obciążeni, przyjdźcie do mnie, a ja was ukoję”. W jakim celu te wyjątki umieszczono tutaj, nie wiem; wydało mi się, że cytaty te i ta dekoracya z jedliny były w zbyt wielkiej sprzeczności z ponurem pomieszczeniem więziennem, z jego twardymi tapezowanymi, rojącymi się od robactwa.

Na niektórych tapezowaniach leżały cienkie kołdry, sporządzone przez samych więźniów z rozmaitych szmat i lachmanów. Więźniowie nie korzystali tu nawet z takiego luksusu, jaki stanowią legowiska ze słomy, które w krajach cywilizowanych dają nawet psom na łańcuchu. Jest to wprost nieludzkie! Tutaj muszą więźniowie pracować ciężko dwanaście godzin dziennie i gdy powracają znużeni na odpoczynek, czekają ich: twarde legowisko i nad niem poczekające słowa biblijnych wyrzeczeń na brudnych ścianach w rodzaju: „Wy, którzy jesteście znużeni i obciążeni i t. d.”

Zwiedziliśmy dziesięć więzień w kraju zabajkalskim, ale tylko w jednym, w nowem więzieniu w Wierchnie-Udińsku widzieliśmy łóżko, poduszkę i kołdrę. Wszędzie skazańcy spali w odzieży na

twardych tapczanach, wszędzie dręczyło ich robactwo i wszędzie musieli oddychać przesyconem zarazkami powietrzem. Kto sądzi, że przesadzam, tego odsyłam do świeżo wspomnianych dzieł: „Syberya i roboty ciężkie” Maksimowa i „Afar” Orfanowa. Nie jestem więc pierwszy, który te stosunki opisuje, byli już tacy nawet w Rosyi i z pośród Rosyan; powtarzam to dlatego, że nigdy zaczęsto nie można tego powtarzać, dopókił tym haniebnym stosunkom nie położy się kresu.

Po obejrzeniu cel udaliśmy się do kuchni.

Skazańcy w okręgu karskim otrzymują dziennie po trzy funty chleba żytniego, około czterech funtów mięsa z kośćmi, nieco kaszy, której zwykle używają na zupę i wreszcie troszkę herbaty cegielkowej. Kto przez pracę w wolnej chwili, lub innym jakim sposobem zarobi parę kopiejek, dokupuje sobie jeszcze czasem kilka kartofii lub trochę kapusty. Żywność jaką otrzymuje więzień, wydała mi się dość wystarczającą, ale nie ma w niej żadnego urozmaïcenia. Skosztowałem chleba, był prawie taki sam, jaki spożywają wieśniacy syberyjscy, ale nie był dość wypieczony; mięso, które rozdzielają między więźniów, wydało mi się mniej zadawalające, podobne ono było do kawałków tłuszczu, używanych do fabrykacyi mydła.

Pożywianie się więźniów odbywało się w następujący sposób: Po wstaniu ze snu rano otrzymywali oni śniadanie, składające się z kubka herbaty cegielkowej i chleba, spożywali je w pomieszczeniach więziennych. Po śniadaniu szli oni do płóczkarni złota, biorąc ze sobą herbatę i chleb na



drugie śniadanie. Jedli je, niezależnie od stanu pogody, na otwartem powietrzu przy roznieconem ognisku. Dopiero o późnej godzinie po południu, gdy powrócili z roboty, otrzymywali oni w więzieniu właściwy posiłek: zupę, mięso, chleb i czasami także jeszcze nieco herbaty. Po wywołaniu imiennem, zamykano ich w celach.

Odzież skazańca w okręgu karskim składa się, albo winna się przynajmniej składać—z następujących części:

Co sześć miesięcy otrzymują oni koszulę z płótna zgrzebnego i także spodnie, co rok kaftan, grubsze spodnie i czapkę, dalej w zimie, obliczone na trwanie przez trzy i pół miesiąca: parę „brodni”, butów skórzanych i w lecie, mającą wystarczyć na dwadzieścia dwa dni, parę „kotków”, trzewików w rodzaju pantofli. W jakim gatunku jest pokarm i odzież skazańców widać najlepiej z tego, że rząd na jednego skazańca w okręgu karskim wydaje rocznie zaledwie osiemdziesiąt rubli.

Gdyśmy obejrżeli więzienie na średniej Karze, pojechaliśmy ku górnej Karze, wysiedliśmy jednak z bryki i poszliśmy w kierunku rzeki do płóczkarni złota.

Złotodajny piasek w okręgu karskim znajduje się pod warstwą gliny albo kamieni, której grubość waha się od trzech do sześciu metrów. Więźniowie muszą więc tę warstwę usuwać i złotonośny piasek nosić do maszyny, gdzie przemywa się on w wielkich żelaznych lejkach. Zawartość ich przepuszczają potem przez szereg płaskich pochyłych rynien, gdzie „czarny piasek” i cząsteczki złota

opadają na ziemię, zatrzymywane przez poprzeczne kraty drewniane w dalszym ruchu.

Pierwsza taka odkrywka, jaką zwiedziliśmy, przedstawiała zupełnie ponury widok; wrażenie to potęgował jeszcze pochmurny dzień zimowy. Trzydziestu do czterdziestu więźniów, otoczonych przez kordon kozacki, pracowało w głębokim dole, którego dno musiało być kiedyś korytem rzeki. Jedni usuwali kilofami twardą warstwę, drudzy napelniali ziemią wykopaną taczki a znów inni ciągnęli je i wypróżniali w pewnym oddaleniu. Maszyna jeszcze nie była w ruch puszczone, tak, iż tymczasem warstwę złotodajną składano na powierzchni gruntu.

Więźniowie, obciążeni kajdanami, pracowali w chmurnem usposobieniu, widać było, że tęsknią za odpoczynkiem nocnym. Panowała cisza; spokój przerywał tylko odgłos kilofów, krótkie rozkazy dozorczy i szczeł kajdan skazańców, którzy wozili odkrywkę. W niewielkiem oddaleniu kilku żołnierzy na pokrytej śniegiem ziemi próbowano rozniecić ognisko, aby móżdż przyrządzić herbatę i rozgrzać zeszywniałe ręce. Przyglądaliśmy się skazańcom przez jaki kwadrans czasu, poczem wróciliśmy do naszej bryki, zgnębieni ponurym widokiem i przykrą pogodą.

W kopalniach nad Karą pracują w zimie od 7 rano do 5 wieczorem, w lecie od 5 rano do 7 wieczorem. Znaczna część tego czasu schodzi w drodze, którą odbywają skazańcy z więzienia do kopalni złota i z powrotem. Kopalnie te dostarczają cesarzowi rocznie 11 pudów złota. Rzeczy-

wista wydajność jest jednak o wiele większa, lecz skazańcy, którzy żyją w „wolnej komendzie”, umieją często ukryć ziarnka złota i sprzedać je potem ludziom, którzy je przemycają przez granicę chińską. W Syberyi samej ten handel jest niemożliwy, gdyż tam samo posiadanie „pszenicy złotej” — jak ją nazywają więźniowie — już ulega karze; ale ten handel przedstawia tak obfite zyski, że wielu się nań waży. Kupują oni od więźniów złoto, które „należy do Boga”, jak ci zazwyczaj mówią, ztąd wniosek ten wyprowadzają, że mogliby je zatrzymać dla siebie, gdyby odkrycie tego nie groziło im niebezpieczeństwem.

Major Potulow określał koszty utrzymania więźniów w okręgu karskim w przybliżeniu na pół miliona rubli rocznie. Czy cesarz, do którego należy cała wydajność kopalni złota, pokrywa część tych kosztów, nie jest mi wiadomem; ale wiadomo mi, że „kopalnie gabinetowe” — jak je nazywają w Rosyi — przynoszą rocznie około 3600 funtów czystego złota.

#### 4. Wolna komenda.

Pragnąłem najbardziej dowiedzieć się bliższych szczegółów o sposobie życia tych więźniów, którzy skazani zostali za przestępstwa polityczne na roboty ciężkie przymusowe. Pospolitych zbrodniarzy, morderców, złodziei, falszerzy i t. p., przeznaczonych do tych robót, mogliśmy przecież widzieć także i w innych częściach Syberyi, ale polityczni „katorżnicy”<sup>1)</sup> znajdowali się tylko w okręgu karskim w więzieniach lub w chałupach drewnianych „wolnej komendy”. Przedewszystkiem też zależało nam na tem, aby uzyskać do nich dostęp i spodziewaliśmy się, że nam się to uda, jako zwyyczajnym, niedoświadczonym podróżnikom, którzy do swego celu dążyli jedynie przez listy polecające i urzędowe zezwolenia i po za tem nie śmieli niczego przedsiębrać. Przeszliśmy i doświadczyli w przeciągu pół roku dosyć, aby się nauczyć, jak

<sup>1)</sup> Skazani na roboty ciężkie.

postępować trzeba z podejrzliwą policją i żandarmami i doświadczenie to uzupełniłszy jeszcze przez niektóre pożyteczne wskazówki, jakich nam dostarczali zesłańcy polityczni.

Uważałem za najwłaściwsze zawiązać jaknajwięcej znajomości z osobami urzędowemi i przez ostrożne pytania i badania wyjaśnić sobie panujące tu stosunki, nie zdradzając niczem interesowania się przestępcami politycznymi i wyczekując przyjaznej, dla naszego zamiaru, okazji. Zwiedzaliśmy dlatego najprzód tylko więzienia pospolitych przestępców i kopalnie złota, zachowywaliśmy się uprzejmie względem urzędników, a szczególnie majora Potułowa i jego pięknej żony. Wkrótce stało się dla mnie jasnym, że byłoby próżnem usiłowaniem starać się o pozwolenie zniesienia się z politycznymi skazańcami i że tylko na drodze tajnej można to było osiągnąć. Stosunki te zresztą znałem właściwie już w pewnej mierze. Znałem już nazwiska i losy większości tych politycznych skazańców; do jednej z nich, do panny Natalii Armfeldt miałem list polecający; posiadałem również szkic planu „Wyższej płóczkarni złota”, gdzie oznaczono także chatę, w której mieszkała ona z matką w „wolnej komendzie”. Ale tajne odwiedziny nie były możliwe w tem gnieździe, wydeptanem wszędzie przez kozaków i żandarmów, gdzie obserwowano każde poruszenie obcych i patrzano na nich, jak na ciekawe zwierzęta. I jeszcze druga nieprzyjazna okoliczność stała nam na przeszkodzie. Nie opuszczał nas nigdy major Potułow! Od godziny, w której zamieszkał u niego, poświęcał się nam, zaniedbując

wszystko pozostałe; siedział w domu, gdyśmy w domu pozostawali, wychodził z nami, gdyśmy okazali chęć wyjścia. Dość było, gdym się obejrzał za pokryciem głowy i paltem, żeby zaraz się odezwał: „Życzy pan sobie wyjść? Będę panu towarzyszył”. Trzeba było robić dobrą minę i przyjmować jego towarzystwo.

Bezwątpienia chciał on, abyśmy nie badali samodzielnie takich rzeczy, które pragnął nam z przed oczu usunąć. Stawiałem się w jego położenie i nie było mi przyjemnie, że wskutek naszego pobytu musiał on odczuwać pewne zakłopotanie. Ale dla powodzenia naszej sprawy musiałem się uciekać nawet do wprowadzenia go w błąd dopóki tylko mogłem to czynić w sposób przyzwoity. Ze to z trudnością mi przychodziło i dało się pogodzić z charakterem mym jako jego gościa, wiedziałem bardzo dobrze i to czyniło położenie nasze bardzo niemiłym. Jednak czyż byłoby możliwem dojść do celu na innej drodze! Gdybyśmy mu powiedzieli poprostu, że chcemy odwiedzić członków „wolnej komendy”, byłby nam bezwątpienia stanowczo to odradzał i stałyby się dla nas niemożliwemi te odwiedziny bez jego wiedzy; postanowiłem więc wprowadzić je w wykonanie, zanimby mógł nam do tego w jaki sposób przeszkodzić. Naturalnie powinno było to stać się w ten sposób, aby dla naszego uprzejmego gospodarza nie wynikała ztąd żadna przykrość i następstwa odkrycia tego kroku mogły tylko na nas zaciążyć. Wyrzec się zaś naszych zamiarów nie mogłem, zresztą czyż ta gościnność, która stanowiła tu przeszkodę, nie była wymuszoną?

Tak czekałem na okoliczność przyjazną dla wykonania mego zamiaru, który z początku przedstawiał mnóstwo trudności. Na drugi dzień po naszym przybyciu nad Karę odwiedził nas kapitan żandarmeryi Nikolin. Otrzymał on wiadomość o naszym przybyciu i chciał prawdopodobnie sam się dowiedzieć, co nas mogło tu sprowadzić. Chociaż nie zrobił on na mnie sympatycznego wrażenia, byłem zdumiony obraźliwym chłodem, z jakim go major przyjął w swoim domu. Na pierwszy rzut oka mogłem już poznać, że ci dwaj ludzie nie żywią jeden dla drugiego uczuć przyjaznych i dało mi to do myślenia, co za ważna okoliczność spowodowała kapitana do zniesienia obejścia, które każdy inny odczulby jako osobistą obelgę. Ale rosyjscy oficerowie żandarmeryi wiele potrafią znieść, jeśli mają jaki cel do osiągnięcia! Kapitan Nikolin życzył sobie poznać nas osobiście i dlatego nie powstrzymało go mroźne przyjęcie majora od zachowania się tak pogodnego, jak dzień majowy. Uważałem za najwłaściwsze okazać się dlań, o ile tylko można było bez obrazy dla gospodarza, uprzejmym, sądziłem, że musiało to, wśród takich okoliczności, szczególnie mu pochwalić i usposobić dla nas przychylnie. Nie miałem i później żadnej podstawy do mniemania, żem przez takie przyjęcie nie wprowadził w błąd. Jak się zdawało, kapitan Nikolin odczul z przyjemnością nasze uprzejme zachowanie się i na pożegnanie uściśnął mi bardzo gorąco dłoń oraz wyraził nadzieję prędkiego ujrzenia nas znowu. Na bezpośrednie zaproszenie nie mógł się jakoś odważyć w obecności majora i my także uni-

kaliśmy wyznaczenia terminu wizyty u niego, choć mieliśmy zamiar ją złożyć, o ile by nam się udało pozbyć się na czas jakiś naszego stałego towarzysza. Major Potułow unikał także, przez delikatność lub rozumne wyrachowanie, wypowiedzenia choć jednego słowa o kapitanie, gdy się ten oddalił. Później miałem sposobność dowiedzieć się z rozmowy z innymi oficerami, że obaj są dla siebie dość wrogo usposobieni i że kapitana wogóle nie lubili wszyscy oficerowie garnizonu i pogardzali nim jak denuncyantem i szpiegiem.

— On donosi o całym naszym postępowaniu do Petersburga — zaznaczył mi jeden z oficerów — ale nic mnie to nie obchodzi i nie boję się go wcale. W ostatnich trzech latach mamy już jednego po drugim czterech, albo pięciu oficerów żandarmerji jako komendantów straży więźniów politycznych, ale ten jest najgorszy ze wszystkich.

Podobne informacye czyniły nasze położenie jeszcze cięższem; wiedziałem, że Nikolin napewno dowiedziałby się natychmiast o tem, gdybym wszedł w stosunki z więźniami politycznymi „wolnej komendy”, że nader prawdopodobnie dałby znać o tem natychmiast do Petersburga i zużytkowałby to bez wątpienia, aby swemu wrogowi, majorowi Potułowowi, zaszkodzić. I wtedy będąc się czuł winnym wobec człowieka, z którego gościnności korzystaliśmy. I następstwa po za tem mogą być jeszcze gorsze. Kapitan żandarmerji był, jak słyszałem, wrogiem instytucji „wolnej komendy” i usiłował nieraz osiągnąć jej zniesienie; mój tajny stosunek z tymi ludźmi mógł mu posłużyć za broń w zwalczaniu tego



urządzenia, znalazłby on w tem podstawę do przesłania ministrowi spraw wewnętrznych takiej opinii: „Zamiarem rządu jest, aby niebezpieczną część skazańców trzymać zdaleka od społeczeństwa; ale jest to dla mnie niemożliwe, gdy skazańcy polityczni żyją w „wolnej komendzie” i tam otrzymują wizyty cudzoziemskich podróżników. Syberyę zwiedzają ludzie teraz częściej, niż przedtem i okręg karski nie jest już tak odcięty od świata, jak niegdyś. Jeżeli nawet oficerowie cesarscy, jak np. major Potulow, ułatwiają obcym podróżnikom znoszenie się ze skazańcami politycznymi, to rząd albo musi wyrzec się zamiaru odosobnienia ich, albo znieść „wolną komendę”, jako szkodliwą i zbrodniarzy na nowo wtrącić do więzienia”.

Co po takim raporcie może nastąpić, łatwo daje się odgadnąć. Moje potajemne odwiedziny nie tylko zaszkodziłyby majorowi Potulowowi, ale i tym, którzy mieszkają na stopie „wolnej komendy”; ja bym spowodował ich ponowne zamknięcie w więzieniu. Myśl, żebym się mógł do tego przyczynić, aby jeszcze powiększyć nieszczęście tych biedaków, zamiast je zmniejszyć, przyprawiła mnie o noc bezsenną, podczas której rozważałem całą sprawę wszechstronnie i wciąż dochodziłem, mimo wszystko, do wniosku, że muszę zapoznać się z więźniami politycznymi w okręgu karskim i że to zaledwie jest możliwe na jakiej innej drodze jak na tej, którą pierwotnie miałem na widoku. Nie pozostawało więc nic innego, jak oczekiwać odpowiedniej chwili, w której mógłbym odwrócić od siebie uwagę równie uprzejmego jak czujnego majora.

Minęło pięć dni i nie udało mi się wyjść z domu choć raz jeden bez towarzystwa. W dniu szóstym zdarzyła się wreszcie sposobność, gdyż Potulow zmuszony był udać się do Ust'Kary, aby tam przeprowadzić śledztwo, dotyczące pożaru, jaki na krótko przedtem zniszczył wielki rządowy magazyn mąki.

Historia tego pożaru przedstawia zresztą dowód zdemoralizowania i przekupności urzędników rosyjskich, które przejawia się na Syberji daleko wyraźniej, niż gdzieindziej. Magazyn miał mieścić w sobie w czasie, kiedy wybuchł pożar 20,000 pudów mąki, po pożarze przecież wyszło na jaw, że było w nim zaledwie nieco więcej niż 20 pudów, a i te należały do osoby prywatnej, która je tylko przypadkowo złożyła w próżnym magazynie. Po 20,000 pudów śladu nawet żadnego nie odnaleziono i stało się jasnym, że mąkę ktoś sprzeniewierzył, a budynek podpalamo, aby ukryć kradzież. W kilka miesięcy potem słyszeliśmy, że i dom majora Potulowa, gdzie się przechowywały wszystkie akta śledztwa w tej sprawie, nagle stał się pastwą ognia, który zapewne wywołał ten, kto miał słuszne ku temu powody, aby sprawę przytłumić.

W godzinę niespełna po odjeździe majora udałem się w drogę, aby odszukać więźniów politycznych „wolnej komendy”; kilka podarunków przeznaczonych dla nich schowałem między podbiciem i pokryciem mego futrzanego palta, zarówno jak i listy, które miałem ze sobą.

Była druga godzina po południu. Major Potulow wspomniał, że powróci dopiero nazajutrz po poł-

dniu, wolny byłem tedy przez 24 godziny od nadzoru, i czas ten chciałem wedle możności zużytkować. Przedewszystkiem postanowiłem odszukać kapitana Nikolina, aby go jeszcze utwierdzić w dobrem o mnie mniemaniu, jakie mógł mieć o nas. Wieczorem chciałem potem z mieszkania jego udać się prosto do panny Armfeldt. Sądziłem, że będzie to schlebiało Nikolinowi, jeśli pierwszej godziny, w której to stało się możliwem, użyję na odwiedzenie go, a potem mniemałem także, że moja wizyta u tej panny mniej będzie zwracała uwagi, gdy mnie ludzie zobaczą udającego się na nią z domu komendanta straży. Mogą oni pomyśleć, być może, że dzieje się to z wiedzą kapitana, a więc nie trzeba mu o tem donosić,

Kapitan Nikolin, człowiek w wieku lat pięćdziesięciu z łysą głową, szpakowatą brodą, wązkiemi zaciśniętymi wargami i chłodnym wyrazem twarzy, był jednym z najchytrzejszych i najdoświadczeńszych oficerów żandarmeryi; zaprawił się on w szkole generała Murawiewa, „kata Polski” i był już trzydzieści lat w służbie.

I on także posiadał te gładkie, ugrzecznione formy obejścia, jakimi się wyróżniają zazwyczaj rosyjscy oficerowie żandarmeryi, co przecież nie wpłynęło na zmianę wrażenia pierwotnego, jakie wywarł na mnie przy pierwszym spotkaniu, ale raczej umocniło mnie jeszcze w mem zdaniu. Jakkolwiek starał się on być względem mnie najuprzejmiejszym, jakkolwiek powitał mnie serdecznie—było w jego spojrzeniu coś przyczajonego, co dawało spostrzedz wyraźnie, że piękne

słówka i uśmiechy są tylko maską, za którą kryje się jego właściwy charakter. O ile mogłem z za tej maski go poznać, posiadał on tylko jedyną słabość: próżność, płynącą z wysokiego mniemania o doniosłości i znaczeniu jego stanowiska. Nie uważał on tego za drobnostkę, że zajmuje urząd, z którym związany jest nadzór nad najważniejszym więzieniem w Syberyi i przytem nie podlega żadnej innej władzy prócz ministra spraw wewnętrznych w Petersburgu, zktórym znosi się bezpośrednio; zaszczyt, jaki dałby się tylko porównać bezpośrednim stosunkiem z cesarzem. Tę próżność chciałem wyzyskać, aby go usposobić dla siebie przychylnie. Usprawiedliwiałem się, że go już dawniej nie odwiedziłem, było to bowiem dla mnie niemożliwe w danych warunkach. Skłonił się i zaznaczył, że położenie, w jakim się znajduje umie właściwie ocenić, poczem zaproponował mi filiżankę herbaty.

Wniesiono parujący samowar, napelniono filiżanki, zapaliliśmy papierosy i rozpoczęła się ożywiona rozmowa.

Wspomniałem pobieżnie o naszych przygodach na Syberyi, nie zapomniałem dodać, że jestem członkiem towarzystwa geograficznego w Ameryce, opowiedziałem o mym dawniejszym stosunku do rosyjsko-amerykańskiego towarzystwa, o mym pobycie na Kamezatee, o mej wizycie u pana Wlangalli, sekretarza ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu, o tem ostatniem szczególnie, dla zaznaczenia, że udałem się w podróż po Syberyi z wiedzą i z listami polecającemi najwyższych władz rosyjskich.

Jak się zdawało słuchał mnie chętnie; wkrótce

opowiedziałem mu całą historię mego życia. Zapytał mnie wreszcie, czy moją podróż przez Syberję opracuję w formie literackiej, co potwierdziłem, napomknąwszy o mem stanowisku przy *Century Magazine*. Wspomniałem dalej, że już przedtem ogłosiłem coś niecoś o Syberji, co go zainteresowało. Zaprosiłem go, aby nas odwiedził i obejrzał szkice mego przyjaciela Frosta i wyraziłem w końcu żal, że nie rozumie po angielsku i nie może mych prac przeczytać. Sądził on, że możnaby je przełożyć na rosyjski. Zgodziłem się na to, tembardziej, że moją pierwszą książkę przetłumaczono dwukrotnie na język rosyjski. Niewiem prawdziwie czego mu jeszcze nie nagadalem, to rzecz pewna, że jeszcze z żadnym człowiekiem na świecie nie mówiłem tak wiele o sobie samym i swych sprawach, jak z tym kapitanem żandarmeryi.

Moja otwartość i gadatliwość wywarły, jak się zdawało, pożądaný przezemnie skutek, stał się rozmowniejszy, nalewał mi jedną za drugą filiżankę herbaty i gdy zauważył, że nie tylko sam opowiadać, ale i słuchać kogoś potrafię, opowiedział mi całą historię swego życia, o swem awansowaniu, swych orderach, swych stosunkach, jak długo jeszcze musi służyć do emerytury, zaznaczył także z dumą, że jest on jedynym w całej Syberji oficerem w randze kapitana, który znosi się bezpośrednio z ministrem spraw wewnętrznych. W ciągu rozmowy przeszliśmy na system deportacyjny i tu nie mało mnie zdziwiło, gdy wyraził niepoehlebną opinię o domach etapowych, a życie zesłańców podczas

transportu uważał za całkiem godne politowania i wogóle potępiał cały system deportacyjny.

Podobnych wynurzeń z tej strony nigdy się nie spodziewał. Zaraz jednak przyszło mi na myśl, czy to wszystko nie jest tylko wybiegiem, w celu wyciągnięcia ze mnie, co o tem myślę. Podtrzymałem mimo to rozmowę, nie dając poznać po sobie, jak dobrze jestem z temi stosunkami obeznany; nie zaniedbałem też przytem wskazać z jaknajwiększym naciskiem na te, rzadkie bardzo, lepsze więzienia, jakie już widziałem. Przytoczyłem nowe więzienie w Wierchnie Udińsku, jako stanowiące niby dowód, że rząd troszczy się o to, aby ulepszyć system więzienny na Syberyi.

Nagle skierował on rozmowę na więźniów politycznych w okręgu karskim. Zapewnił, że położenie ich było o wiele lepsze, niż jak o tem często mniemano. Mieszkali bowiem oni jakoby w dużych, jasnych pomieszczeniach, nie byli przymuszani do wykonywania żadnych robót przymusowych, mieli do rozporządzenia książki, mogli otrzymywać pieniądze i przechodzili po upływie pewnego czasu do „wolnej komendy”, gdzie zajmują własne domy i mają przy nich ogródki.

Wyraziłem mój podziw z powodu tak łagodnego obchodzenia się z nimi, spytałem, czy więźniowie polityczni muszą pracować w kopalniach złota.

— Wcale nie!—odpowiedział.—Przebywają oni w swych wygodnych pomieszczeniach, czytają albo studyują tam, oto wszystko.

— A czy mogą oni znosić się listownie ze

swymi znajomymi i krewnymi w Rosyi Europejskiej? Zapytałem.

— Dlaczego nie? Aby mogli bez przeszkody pisywać, rna to, od czasu jak tu przybyłem, zwróciłem szczególną uwagę. Naturalnie odczytuję listy i karty pocztowe, które życzą sobie wysłać, ale mogą pisać tyle, ile zechcą.

— U nas, w Ameryce, sądzą, zauważyłem, że przestępców politycznych na Syberyi przykuwają często do taczek, że muszą oni pracować w kopalniach, gdzie dni swoje pędzą w największej nędzy.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i po krótkim zastanowieniu odpowiedział:

— I ja także byłem przedtem takiego zdania, byłem też zdumiony, gdy znalazłem tu stosunki tak korzystne. Gdyby pan obecnie zajrzał do cel, ujrzał by tam więźniów siedzących na około wielkiego stołu, zajętych czytaniem lub pisaniem i mogłoby panu się wydać, że to pokój w bibliotece.

Zrobiłem uwagę, że widok ten sprawiłby mi przyjemność i że zyskałbym przedmiot do mej pracy i zapytałem, czyby mi nie zechciał pozwolić, abym zwiedził więzienie.

— Nie jest to w mojej mocy—odpowiedział wahająco—ale niektóre książki z tych, jakie oni czytają może pan zobaczyć, jeśli zechce. Są tam nawet angielskie.

Zawołał żołnierza i rozkazał mu, aby przyniósł z więzienia kilka książek angielskich lub gazet.

Żołnierz spełnił rozkaz i powrócił wkrótce z tomem poezyi Shelley'a i numerem londyńskiego

pisma humorystycznego „Punch”. Podał mi je kapitan z miną zwycięzcy, poczem mówił dalej:

— Niedawno urządzili oni nawet przedstawienie teatralne w jednej z sal więziennych i przez czas jakiś wydawali gazetę pisaną.

Przyniósł on potem swe książki, aby mi pokazać jak wiele pieniędzy otrzymują więźniowie w ciągu roku od swych blizkich. Wedle jego obliczenia otrzymali 6,044 rubli <sup>1)</sup>.

— Czy więźniowie mają prawo swobodnie rozporządzać temi pieniędzmi?—zapytałem.

— Mają to prawo, ale pieniędzy nie otrzymują do ręki, tylko mogą nimi rozporządzać, wskazując, co za nie trzeba im kupić, i spełnia się ich polecenia nawet względem przedmiotów, które wedle przepisów nie można dopuszczać do więzień.

Przyjąłem te objaśnienia z radosnem zdziwieniem: byłem całkiem zachwycony tym miłym obrazem, jaki mi ukazał szlachetnie myślący kapitan żandarmeryi: szczęśliwi i radośni więźniowie, którzy siedzą sobie we wspaniałych pomieszczeniach i dla rozrywki przeglądają „Punch”, którzy co tydzień wydają gazetę i, gdy są w dobrym humorze, grają komedye! I byłem oburzony, że więźniowie

---

<sup>1)</sup> Jak się później dowiedziałem w drodze powrotnej od jednego urzędnika, który miał dostęp do wydziału rachunkowego, zesłańcy polityczni w okręgu karskim, w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy roku, otrzymali zaledwie 700 rubli od swych blizkich. Kapitan Nikolin tedy podał mi cyfry fałszywe, aby wzbudzić we mnie wiarę, że więźniowie ci posiadają środki materialne.



za tyle dobroci i łagodności ze strony ojcowskiego rządu okazują tyle niewdzięczności i niskiej niechęci.

— Nie może pan sobie wyobrazić— mówił Nikolin do mnie—jak chytrzy są więźniowie i do jakich się podstępów uciekają, aby do więzienia lub z więzienia przemycać listy. Jakby pan np. wziął się do zrewidowania politycznego przestępcy?

— Kazał bym mu się rozebrać i potem zrewidować całe jego ubranie.

— A potem?

— Nie wiem, coby już potem było do zrobienia— odpowiedziałem.

— Czyby pan nie zbadał mu uszów?

— Nie, to by mi chyba nie przyszło do głowy.

— Nie oświetliłby mu pan jamy ustnej wzieraczem?

— Nie.

— Nie zbadałby pan dziurawego zęba?

Zrobiłem uwagę, żeby mi nigdy nie wpadło na myśl przypuszczenie, aby można schować list w zębie wypróchniałym.

— A widzi pan!— zawołał— uśmiechając się znacząco. Wyciągałem więźniom cieniutkie papierki z uszu i z ust, znalazłem nawet w dziurawym zębie ukrytą dawkę trucizny. Ach! jacy oni są chytrzy!— dodał, zacierając dłonie,— ale mnie nie oszukają!

Zląkłem się, gdyż przyszło mi na myśl, że mam w palcie ze sobą to i owo, co nie było przeznaczone dla oczu kapitana, złożyłem palto w przedpokoju i być może podejrzliwy kapitan, który bada

nawet dziurawe zęby, wydał rozporządzenie, aby przeszukać moje palto. Zrobiło mi się nieco nieprzyjemnie; ile razy otwarto drzwi, spoglądałem ku nim mimowoli, czy nie przynoszą zawartości tej odzieży. Ale na szczęście troska ta była zbyt zbyteczną.

Kapitan Nikolin opowiedział mi jeszcze cośkolwiek o sposobie życia więźniów politycznych w okręgu karskim. Wiele z tego, co mówił na ich korzyść, było prawdą; ale ta prawda była tak zręcznie przedstawiona, że byłby mnie prawdopodobnie podszedł, gdybym był prostodusznym podróżnym, za którego mnie bez wątpienia uważał.

Dziwaczna to było komedia, jaką graliśmy ze sobą!

Więzienie „politycznych” było mi prawie tak dobrze znane, jak samemu kapitanowi i między dokumentami, jakie nosiłem przy sobie, znajdował się dokładny plan więzienia i spis imienny przebywających w niem. Mógłbym Nikolinowi opisać każdy przedmiot, jaki się w celach znajdował; wiedziałem, jakie skazańcy otrzymywali pożywienie i odzież i w jaki sposób czas spędzali; wiedziałem także, że czterech z tych więźniów przykuto do taczek, że kilku pod wpływem cierpień dostało pomieszania zmysłów—wiedziałem o wszystkim, co się tu stało w ciągu ostatnich lat pięciu i mogłem każde twierdzenie Nikolina sprowadzić do właściwego znaczenia. Mimo to siedziałem, jako uważny słuchacz, udawałem uczucia, które mi były całkiem obce i nadawałem sobie pozory dobrodusznego, powierzchownego podróżnika, który nie ukryć nie potrafi, ani

nie nie ma do ukrycia, który dziwi się, że więźniów nie przykuwają do tacek w wilgotnych kopalniach i szczerze się cieszy, że ich dozorcą jest dobrotliwy, szlachetny oficer, który traktuje ich dobrze i łagodnie.

Jakie mniemanie kapitan Nikolin powziął o mnie pozostało dla mnie niewiadomem, ale sądzą, że mi się udało najwytrawniejszego i najbezwzględniejszego ze wszystkich oficerów żandarmeryi na Syberyi gruntownie wywieść w pole i jeśli być może nawet tak nie było to przynajmniej nie zdołał on mnie podejść. Z punktu widzenia moralności, mojego postępowania w tym wypadku nie można uważać za poprawne, ale nie mogłem inaczej—ryzykowałem w tej grze wszystko. W moim bagażu, w moich kieszeniach było wiele pism rewolucyjnych, były plany więzień, kopie dokumentów urzędowych, listy skazańców politycznych, cały tuzin wydawnictw kieszonkowych z rysunkami; nietylko wielu zesłańców politycznych, ale także wielu dzielnych urzędników skompromitowałyby treść tych dokumentów. Gdybym ściągnął na siebie podejrzenie i dał powód do przetrząśnięcia mych rzeczy, to nietylko straciłbym cały, mozolnie przezemnie zebrany, materiał, ale użyto by tegoż do celów wprost przeciwnych, co mogłoby wielu ludzi zgubić. Te okoliczności niech usprawiedliwią moje postępowanie, egzystencya wielu ludzi zależała od mego bezpieczeństwa.

Ku wieczorowi opuściłem kapitana Nikolina i udałem się do panny Armfeldt, której chata znajdowała się między więzieniem politycznych i do-

meni majora Potułowa, niedaleko granicy Wyższej Płóczkarni.

Dzieje panny Armfeldt, znalazem w pewnej mierze. Była ona córką znanego generała rosyjskiego i siostrą literatki pani Fedczenko, żony wybitnego uczonego. Rodzina jej była bogatą, pochodzenia szlacheckiego i miała rozległe stosunki; ona sama i jej matka, były, między innymi, zaprzyjaźnione także z poetą rosyjskim, hrabią Leonem Tołstojem. Mówiła ona po francusku, niemiecku, angielsku, rysowała, malowała, krótko mówiąc, była damą wykształconą.

Dnia 11 lutego 1879 r. zaaresztowano ją w jednym rewolucyjnym stowarzyszeniu w Kijowie. Policja zaskoczyła stowarzyszenie w nocy; mężczyźni okazali opór i strzelali z rewolwerów do policyantów i żandarmów, ci odpowiedzieli strzałami, przy czem po obu stronach byli zabici i ranni. W końcu ujęto związkowców przemocą i odprowadzono do więzienia. Panna Armfeldt za udział w związku rewolucyjnym i okazany władzy prawnej opór — w czem właściwie nie uczestniczyła—została skazana do robót ciężkich na lat czternaście i dziesięć miesięcy z pozbawieniem wszystkich praw cywilnych i z osiedleniem na Syberyi.

Ściemniało się już, gdym doszedł do małej, pobielonej wapnem chaty, która zgodnie z opisem musiała być jej mieszkaniem. Zapukałem, masywne drzwi drewniane otworzyła jakaś młoda osoba.

— Czy tu mieszka panna Armfeldt? — spytałem.

— To ja nią jestem—odpowiedziała.

— Nazywam się Jerzy Kennan i jestem podróżnikiem z Ameryki. Przyjechałem na Syberję dla zbadania systemu deportacyjnego. Poznałem wielu z pani przyjaciół i przywożę list od pani X.

Przez parę minut przyglądała mi się z milczącym zdumieniem, wreszcie oprzytomniała i poprosiła mnie, abym wszedł do wnętrza. Wszedłem przez małą ciemną sionkę i znalazłem się w izdebce, bez podłogi z desek, z niską powalą z nieobrobionego drzewa; z tego samego materiału były także skąpo pobielone ściany, w których znajdowały się dwa okienka.

Urządzenie izby składało się z prostego stołu drewnianego bez serwety, trzech drewnianych stołków i wazkiego łóżka, przykrytego szarą koldrą wełnianą. Prócz tego po obu stronach drzwi stały jeszcze półki, na których znajdowały się naczynia kuchenne i stołowe: talerze, filiżanki, noże, widelce, puszka do herbaty; dalej koszyk i prosty kufer drewniany pod łóżkiem. Mimo widocznego niedostatku panowała tu wyszukana czystość. Zdjąłem palto i zabierałem się do wyjęcia listu, gdy wstrzymała mnie za rękę i rzekła:

— Niech pan lepiej poczeka: chcę wprzód zamknąć okno i drzwi zaryglować.

Drżącą ręką zapaliła światło i wyszła na zewnątrz, aby zamknąć okiennice. Gdy powróciła i drzwi zaryglowała, rzekła do mnie:

— Nie jest pan przyzwyczajony do atmosfery obawy i strachu, w której my żyjemy. Mogliby łatwo dostrzedz przez okno, jak mi pan list wręcza.

Wzięła list do ręki i trzymała go nie otwierając chwilę, gdyż dotąd z jej oblicza nie zniknął wyraz zdumienia, który się ukazał po pierwszych mych słowach. Wreszcie powiedziała:

— Jak się to stało, że pan tu przybył?

Odpowiedziałem, że od Srietnińska przyjechał konno.

— Ale kto panu dał pozwolenie?

— Nie mam żadnego pozwolenia. Już cały tydzień tu się znajduję, ale dopiero teraz trafiła mi się sposobność odszukania pani.

I opowiedziałem jej, że przybyłem na Syberję, aby poznać życie zesłańców politycznych i w krótkości wspomniałem o wszystkim, co miałem sposobność zauważyć. Gdy wreszcie powoli przyszała do siebie ze zdumienia, zwróciła się do mnie w języku angielskim:

— Niech pan wybaczy, że patrzę na pana z takim zdziwieniem, że nie przyjmuję go serdeczniej, gdyż pańskie przybycie wydaje mi się snem prawie. Jestem tak wzruszona, że nie wiem, co robię i mówię. Jest pan pierwszym obcym człowiekiem, którego tu oglądam, pańskie uagłe ukazanie się oddziaływa tak nadzwyczajnie na mnie, że zaledwie mogę przyjść do siebie. Musiał to czuć Lewingstone, gdy się w Afryce spotkał nagle ze Stanleyem. Co pobudziło pana do powzięcia szczególnego postanowienia, aby odbyć podróż na Syberję, w celu zbadania systemu deportacyjnego?

Gdym odpowiadał na jej zapytania, z za pieca dał się słyszeć słaby głos:— Kto tam jest Natalio? Z kim rozmawiasz?

— Podróżnik z Ameryki, mamó, który nawet w kopalniach Kary nas odszukał.

Pani Armfeldt, która, przy mojem wejściu spała za piecem, teraz, zbudzona naszą rozmową, wyszła i powitała mnie. Była to szczupła, o słabowitym wyglądzie, kobieta, lat około 60-ciu, a której twarz szlachetna nosiła wyraźne ślady trosk i niedostatku, jakie przeszła. Sine obwódki dookoła zmarszczkami otoczonych oczu wyraźnie mówiły o niejednej nieprzespanej, przepłakanej nocy. Ogarnął mnie smutek i głębokie współczucie; nigdy jeszcze nie widziałem na twarzy ludzkiej tak wyraźnych śladów cierpień beznadziejnych.

Po półgodzinnym pobycie odszedłem, przyrzekając powrócić później jeszcze. Panna Armfeldt przy pożegnaniu dodała, że zastanę u niej za powrotem i innych politycznych więźniów z „wolnej komendy”.

Do głębi wzruszony pośpieszyłem do domu, gdzie czekano mnie z jedzeniem. Pani Potułow spoglądała na mnie od czasu do czasu badawczo, jakgdyby dowiedzieć się chciała, co robiłem całe popołudnie, nie zapytała mnie o to jednakże, co mi oszczędziło wykrętów.

O godzinie 7-ej powróciłem do chaty panny Armfeldt i zastałem tu politycznego więźnia nazwiskiem Kurtiejew i młodą wątłą kobietę, którą nazywano Kolenkina. O niej już coś słyszałem; była to jedna z owych rewolucyonistek, oskarżonych o współudział w spisku na życie generała Mezencewa i zesłana do obwodu Karskiego. Jak uprzednio i teraz spoglądałem z najwyższem zdziwieniem na wą-

tlą, młodzieńczą postać znanej rewolucyorki. Szczególnem było, że wszystkie kobiety, które w ostatnich piętnastu latach brały udział w najokrutniejszych wypadkach w Petersburgu, Moskwie, Kijowie i Odesie, okazujące moc ducha i stanowczość, jaka rzadko w tej mierze zdarza się u mężczyzn, te wszystkie kobiety były młode, wątłe, w wieku lat od 18 do 20, a po zachowaniu się ich łagodnem i nieśmiałem, wnosićby można było, że są raczej nauczycielkami małych dzieci, albo nawet jeszcze wychowankami zakładów naukowych.

Powoli schodzili się wszyscy skazańcy polityczni, żyjący na wolnej stopie. Przybycie swe oznajmiali lekkim pukaniem do okna, panna Armfeldt wychodziła wówczas i, zanim drzwi otwarła, ostrożnie pytała o nazwisko gościa.

Izdebka nawpółciemna, trwożna cisza, tajemnicze pukanie do okien, krótka rozmowa, prowadzona szeptem przez wybladłych mężczyzn i kobiety, którzy patrzyli na mnie zdumieni, jakgdybym z państwa cieniów zstąpił—wszystko to dziwne na mnie wywierało wrażenie.

Nie tu nie przypominało życia świata zewnętrznego. A kiedy skazańcy opowiadali mi okrutne historie bólów swoich, cierpień, brutalności, doznanych, szaleństw i samobójstw w okręgu Karskim, zdawało mi się, że przeszedłem ponure wrota Dantejskie i przeczytałem straszne wyrazy: „*Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*”. (Zostawcie wszelką nadzieję, wchodzący).

Było może koło 9-tej—wziąłem właśnie do ręki notatnik, aby sobie różne szczegóły zapisać —



gdy silnie do okien zapukano. Pani Kolenkina szepnęła:

— Żandarmi! Nie wpuszczajcie ich. Powiedźcie kto z nas tu jest, może się tem zadowolą.

Zapanowała głęboka cisza; serce moje było głośniejsze, niż zazwyczaj; panna Armfeldt z udaną pewnością w głosie otworzyła drzwi i zawołała do stojących na dworzu żandarmów:

— Jesteśmy tu wszyscy: Matka, ja, Kurtiejew, Kolenkina—i wyliczała nazwiska obecnych.

Po kilku wymienionych zdaniach żandarmi oddalili się. Panna Armfeldt zamknęła drzwi i uśmiechnęła się:

— Nie upierali się przy wejściu. — Późem zwróciła się ku mnie i dodała po angielsku:

— Żandarmi trzy razy na dzień obchodzą wszystkich, ażeby się przekonać, czyśmy nie uciekli. Teraz to czynią już tylko dla formy, prawie, że do domów nie wchodzą.

Rozmowa tedy prowadziła się dalej.

Więcej niż dwie godziny słuchałem opowiadań i odpowiadałem na liczne zapytania o stosunkach, rosyjskich, o rozwoju ruchu rewolucyjnego.

W trakcie rozmowy zwrócił nagle moją uwagę jeden człowiek, który mi nie był przedstawiony. Mógł mieć lat około 30, miał bladą bezduszną twarz, wielkie niebieskie oczy, które we mnie utkwili, usadowiwszy się przedemną na niskim stołku, z głową, wspartą na rękach o kolana. Podczas chwilowej przerwy w rozmowie, zwrócił się do mnie nagle głosem bezdźwięcznym, powolnym:

— My... mamy... tu... nasz... własny cmentarz.  
Czy... pan... chcesz... go zobaczyć?

Sposób mówienia i słowa jego wywarły na mnie takie wrażenie, że nie odpowiedziałem. Ale wpadło mi na myśl, że musi to być jeden z obłąkańców. To pytanie niezwykle, które mi wyraźnie przed oczy nasunęło szaleństwo i śmierć, wpłynęło iż wszystko, co dotąd widziałem wydało mi się jeszcze okrutniejszym, zwiększało jeszcze moje podrażnienie.

Dopiero po północy rozstałem się ze skazańcami i śpieszyłem do domu. Nawet mroźne powietrze nie uspokoiło rozgorączkowanej wyobraźni. Wszystko już spało, prócz Frosta, który niespokojny czekał na mnie. Rzuciłem się na łóżko i usiłowałem spać, lecz nadaremnie. Dopiero nad ranem dobroczynny sen skleił mi oczy.

---

## 5. Przestępcy polityczni w okręgu karskim.

Następnego dnia odwiedziłem z Frostem pannę Armteldt. Wieczorem powrócić miał major, a wtedy koniec był naszych samodzielnych wycieczek, należało więc ten krótki czas do jego powrotu możliwie wyzyskać. Nie można było przypuszczać, że nasze stosunki ze skazańcami politycznymi długo będą mogły być utajone przed władzami miejscowymi, ale póki to nie nastąpi i póki przeszkód nie napotkamy, chciałem otrzymać możliwie jaknajwięcej wiadomości. Odwiedzać chaty będących na wolnej stopie, w biały dzień, zwiększało w każdym razie niebezpieczeństwo szybkiego odkrycia; ani jednej więc minuty nie mogliśmy tracić; nadto obiecałem panie Armteldt odwiedzić ją w rannych godzinach.

W przeciągu kwadransa byliśmy na miejscu. Panna Armteldt sama nam drzwi otworzyła. Weszliśmy. Wśród jasnych blasków pięknego zimowego poranku ponura izdebka wydała mi się jeszcze smutniejszą. Zauważyłem także stalugi, na których

znajdował się obraz; przedmioty te, tu, w tem otoczeniu, tak mnie szczególnie uderzyły, że spojrziałem na nią pytająco. Zrozumiała mnie, odwróciła stługi i rzekła:

— Probowalam portretować matkę. Chee ona dla innych dzieci swoich powrócić do Rosyi, więc prawdopodobnie nigdy już jej nie zobaczę. Za słabą jest, aby jeszcze raz odbyć taką podróż. Wiem, że portret nie wiele wart, ze wstydem prawie pokazuję go panu. Ale może mi pan co poradzi; może mnie pan Frost nauczy, jak zużytkować ten skąpy materiał, jaki tu mogłam zdobyć.

Wzruszony oglądałem obraz, bardzo niedobry. Podobieństwa można się było dopatrzeć, nie bez talentu był niewątpliwie malowany, ale płótno było do niczego, farby złe. Bolesny był widok—to usiłowanie córki zachowania drogich jej rysów, ale boleśniejszą jeszcze stokroć myśl, że to złe odbicie będzie dla niej niedługo jedyną pociechą w takiej samotności.

Frostowi pozostawiłem zajęcie się portretem, a sam zawiązałem tymczasem rozmowę z panią Armfeldt; pytałem jej, jak w swoim wieku miała odwagę odbyć taką podróż z Petersburga do okręgu Karskiego!

— Nie mogłam inaczej—odparła spokojnie.— Z biedakami tymi bardzo się tu źle obchodzą. Natalię żołnierze bili kolbami; inni umierali z głodu. W Petersburgu trwały mnie różne niepokojące wieści, pojechałam więc, żeby się sama o wszystkim przekonać. Nie mogłam znieść tej myśli, że dziecko moje w takiej nędzy ma żyć samo.

— Kiedyż to było?

— Między rokiem 1882 i 1883. W maju tego roku uciekło ośmiu skazańców; innych za to tak dręczono, że urządzili głodówkę i przez 13 dni nie przyjmowali żadnego pożywienia.

W czasie tej rozmowy weszło kilku zesłańców, panna Armfeldt przyniosła samowar, podała herbatę i rozpoczęła się ogólna rozmowa.

Po południu po raz ostatni odwiedziłem pannę Armfeldt. Wiedziałem, że tych nieszczęśliwych nigdy już w życiu nie zobaczę, i oni wiedzieli, że może to jedyna sposobność dla nich rozmawiania z kimś, co wraca do świata ucywilizowanego, co będzie miał możność może porozmawiania z ich krewnymi, przyjaciółmi, i świadomi blizkiego pożegnania, jeszcze serdeczniej się do mnie garnęli. Obiecałem matce i córce odwiedzić hrabiego Tołstoja i opisać mu w jakim stanie ich tu zastałem<sup>1)</sup>, dałem im mój adres, prosząc o wiadomości o sobie, jak się nada-

---

<sup>1)</sup> Przyrzeczenia dotrzymałem: odwiedziłem Tołstoja i opowiedziałem mu o bólach i cierpieniach zaprzyjaźnionych z nim Armfeldtów. Jednakże nie chciał słyszeć o politycznych przestępcach we wschodniej Syberii, odrzucił notatkę, jakie dla niego przywiozłem, ażeby mu dać obraz tamtejszych stosunków. Oświadczył mi, że niejednego z więźniów żałuje, ale, że nie dla nich zrobić nie może, ponieważ czyny ich są dla niego w wysokim stopniu niesympatyczne. Używali sami gwałtu, teraz muszą od gwałtu cierpieć. W Moskwie powiedziano mi, że żona jednego ze skazańców prosiła Tołstoja o wsparcie dla więźniów i że jej odmówił. Prawdopodobnie nie chciał niezem wspierać ludzi, których postęпки mu się nie podobały.

rzy sposobność i zabrałem listy i zlecenia do krewnych w Rosyi.

Ze takie pośrednictwo jest karane i że mogłem ciężko za nie odpowiadać, jeśli papiery moje byłyby rewidowane przez policję, wiedziałem o tem doskonale; ale nie mogłem sobie odmówić przyjemności zadosyćuczynienia życzeniom tych nieszczęśliwych, bo lata całe nieraz mijały, zanim znaleźli kogoś, co chciał być posłem do drogich im osób. Namawiałem ich też sam, by mi powierzyli listy swoje.

Gdy się ściemniło, pożegnałem się, przyrzekając, o ile to będzie możliwe, odwiedzić ich raz jeszcze.

Major Potułow powrócił o północy, zobaczyłem go jednak dopiero nazajutrz rano. Powitał mnie grzecznie, lecz chłodniej, niż zwykle, nie podał ręki do uścisku. Mileżał i chmurny spoglądał na filiżankę z herbatą. Byłem na to przygotowany i obmyśliłem sobie co w tym wypadku uczynić. Ceniłem Potułowa, jako człowieka honoru; przyjął nas gościnnie do swego domu, a ja swoim postępowaniem mogłem go wprowadzić w bardzo nieprzyjemne położenie; chciałem się tedy z nim rozmówić otwarcie. Opowiedziałem mu więc, że w czasie jego nieobecności zapoznałem się z więźniami, będącymi na „stopie wolnej komendy.”

— Dowiedziałem się o tem — odparł, nie patrząc na mnie. Po chwili dodał:—Uważam sobie za obowiązek powiedzieć panu, żeś pan był bardzo nieostrożny.

— Czemu?

— Gdyż obey, którzy wchodzą potajemnie

w stosunki z politycznymi więźniami, są podejrzani. To nie jest dozwolone; będzie pan z tego powodu miał nieprzyjemności.

— Nikt mi nie powiedział, że to jest wzbronione,—odparłem.—Zkądże mogłem wiedzieć, że nie wolno mi obcować z ludźmi, którzy mieszkają na swobodzie, których codziennie mogę spotkać na ulicy. Będący na stopie „wolnej komendy” nie są przecież w więzieniu, obcują ze wszystkimi, dlategoż ja miałbym ich unikać?

— Gubernator Barabasz\*) telegrafował do mnie —mówił z powagą,—że pozwolenie na odwiedzanie politycznych przestępców nie zostało panu udzielone, tem samem wogóle życzył sobie trzymać pana zdala od wszystkich tej kategorii zesłańców.

— Tego mi nikt nie mówił. Gdybym był uprzedzony, zachowałbym się odpowiednio.

— Ja zaś nie przypuszczałem, abyś pan mógł mieć podobne zamiary; nie pan o tem nie wspominał. Zresztą to wszystko obchodzi właściwie tylko kapitana Nikolina, on bowiem za politycznych jest odpowiedzialny. Ja tylko chciałem pana ostrzedz i powiedzieć, że pan postąpiłeś nieopatrznie i naraziłeś się na wielkie niebezpieczeństwo.

Teraz otwarcie wyznałem majorowi, dlaczego nie o tem nie wspominałem i dlaczego skorzystałem z jego nieobecności, ażeby zamiar mój w czyn

---

\*) Gubernator tej części kraju Zabajkalskiego, gdzie znajdują się kopalnie złota obwodn Karskiego.

wprowadzić, nie chciałem zezwolenia jego, by nie narazić go na podejrzenie współwiny.

Wyjaśnienie moje wywarło dobre wrażenie; odzyskał wkrótce poprzedni ton serdeczny, uważał jednak za stosowne raz jeszcze ostrzeżenie swe powtórzyć.

W godzinę może po śniadaniu ukazał się kapitan Nikolin i prosił majora o rozmowę w sprawach służbowych. Major wprowadził go do swej kancelaryi, gdzie rozmawiali przeszło pół godziny. Ja tymczasem zająłem się w moim pokoju uporządkowaniem papierów, a Frost w bawialni, położonej naprzeciw kancelaryi, rysował dzieci naszych gospodarzy.

Po wyjściu Nikolina przyszedł do mnie i oznajmił, że słyszał część rozmowy między majorem i kapitanem, iż chodziło tu o nas. Mówiono o moich wizytach u politycznych zesłańców i Nikolin uznał za potrzebne przejrzeć moich papierów, zaś Potułow był zdania, że toby wywołało za dużo hałasu i że lepiej tego uniknąć. W końcu jednak pułkownik zgodził się, że rewizya jednakże musi się odbyć, jeśli nie tu, to w jakiej innej miejscowości. Frost mówił mi to szeptem, trochę wzburzony, a i ja zaniepokoiłem się. Wprawdzie nie było prawdopodobnem, aby Potułow pozwolił na rewizyę moich rzeczy w swoim domu, ale możliwem było, że przyszedłby do mnie i rzekł:

— Kochany Jerzy Iwanowiczu, kapitan Nikolin wie, że pan wchodziłeś w bliższe stosunki z politycznymi przestępcami, pozostającymi na stopie „wolnej komendy”, że pan często u nich przebywałeś,



że pan listy od nich wzięłeś. Zaproponował mi dziś, ażeby przejrzeć rzeczy pana. Ponieważ pan jesteś moim gościem, odmówilem, muszę jednakże mieć od pana pod słowem honoru zapewnienie, że pan listów takich u siebie nie posiada.

Gdyby tak do mnie przemówił, niepozostawałoby mi nic innego, jak, albo okłamać człowieka, który udzielił mi gościnności, albo zdradzić tych nieszczęśliwych, co z takim zaufaniem się do mnie zwrócili i którzy posiadali całą moją sympatyę. Jedno i drugie wydało mi się niemożliwym. Coś jednakże trzeba było postanowić i to szybko, bo niebezpieczeństwo było bliskie. Gdyby listy moje były odkryte, to pannę Armfeldt i jeszcze kilka osób bezwątpienia wtrąconoby znów do więzienia, co stałoby się zgubą dla wielu innych jeszcze.— W niepokoju, niezdecydowany, unikałem przedewszystkiem spotkania z majorem, położyłem się pod pierwszym lepszym pozorem weześnie do łóżka i spędziłem noc bezsenną, rozważając jak najlepiej postąpić. Nakoniec z trudnością wielką zdecydowałem się listy zniszczyć. Oczywiście nie mogłem uprzednio pytać właścicieli o pozwolenie, pewien jednak byłem, że, bacząc na okoliczności, postępek mój uważaliby za właściwy.

Ciężko było mi, bardzo ciężko niszczyć to, co dla wielu tych nieszczęśliwych było nadzieją i pociechą, co dla blizkich ich sercu byłoby tak drogiem, ale tak być musiało! Teraz pozostawało tylko pytanie, w jaki sposób zniszczyć to wszystko? Od chwili gdy wykryto stosunki moje z politycznymi, musiałem przypuszczać, że jestem pilniej, o wiele

pilniej śledzony; nadto pokój nasz nie miał drzwi, tylko był od innych ciężkimi portyerami oddzielony; okna nie miały zasłon, a stojący naprzeciw szyldwach dzień i noc mógł nas doskonale obserwować. Gdybym papiery podarł, kawałki mogły być znalezione i zlepione; gdybym je chciał spalić, woń spalenizny mogłaby mnie zdradzić, zresztą mógł mnie Potułow łatwo przy tej robocie nagle zaskoczyć, ponieważ często wchodził do mnie, nie zamawiając się.

Wkrótce po mojem wstaniu z łóżka, rano wszedł do mnie żołnierz, ażeby napalić w piecu. Przyszło mi na myśl, ażeby wyzyskać tę okoliczność. I podczas gdy Frost w sąsiednim pokoju rozmawiał z majorem i przekonałem się, że szyldwach odemnie na chwilę odwrócony, cisnąłem listy do kominka i po kilku minutach śladu już z nich nie było. Następnie wytarłem niejedno z mego notatnika, niejedno napisałem cyframi i usiłowałem w inny jeszcze sposób przygotować się do grożącej mi rewizyi.

O dwóch rzeczach z przykrością wspominam, gdy myślę o moim pobycie w obwodzie Karskim: jedna—to niszczenie tych listów.

Politycznych zesłańców nie widziałem już więcej i nie miałem sposobności zawiadomić ich o tem i objaśnić, jakie okoliczności skłoniły mnie do tego, a dziś na te wyjaśnienia już za późno. Panna Armfeldt umarła w rok jakiś po mojej wizycie na suchoty więzienne; list, który mi oddała, był prawdopodobnie ostatnim w jej życiu. A przytem wszystkie obawy moje były bezzasadne. Major Potułow nie

żądał odemnie wyjaśnienia, rzeczy moich nie rewidowano, mogłem być zatem listy te, jak później wiele innych, zatrzymać i oddać.

Druga rzecz—dotyczy osoby doktora Edwarda Weimara, który w czasie pobytu mego leżał w ostatniem stadyum suchot płucnych i którego widzieć mi nie pozwolono. Należał on do najwybitniejszych politycznych przestępców, pozostających na stopie wolnej komendy, był lekarzem, pochodził z arystokratycznej, bogatej rodziny i miał lat 35. Aż do chwili zesłania zamieszkiwał wspaniały pałac na Newskim Prospekie w Petersburgu i znanym był osobiście żonie Cesarza Aleksandra III-go.

W latach 1877 — 1878, podczas wojny rosyjsko-tureckiej prowadził, urządzony przez księżnę, lazaret polowy, został za wielkie zasługi nagrodzony orderem św. Anny i innemi jeszcze znakami honorowemi, cieszył się łaską generała Hurki, z którym razem przebywał znane przejście przez Bałkany. Na podstawie nie bardzo poważnych danych został uwięziony i po rocznym pobyty w fortecy Petropawłowskiej w Petersburgu, zesłany do kopalni okręgu Karskiego.

Gdy go skazano *Times* londyński tak o tem pisał:

„Korespondent petersburski donosi nam dziś telegraficznie o wyroku, jaki zapadł na jednego z oskarżonych o spisak nihilistyczny. Obserwatorowi z Zachodu tego rodzaju procesy polityczne wydawać się muszą karykaturą sprawiedliwości i te rozprawy dały znów dowód, że przy pomocy stanu

obleżenia rządzenie krajem nie jest tak trudnem. — Sądy wojenne wydają zazwyczaj wyroki szybkie i surowe, rosyjskie sądy wojenne są okrutne i bezwzględne.

„Śród oskarżonych, którzy wczoraj byli sędzeni, znajduje się doktor Weimar, człowiek, z którego Rosya miała wszelkie powody być dumną. Z zachowania jest to skończony gentelman; jako lekarz służył z wielkiem oddaniem swym rodakom. Jest on, raczej powiedzieć należy, był, bo dziś to już tylko niewolnik w morderczych kopalniach syberyjskich — odznaczony rosyjskimi i rumuńskimi orderami, a ma także order z wojny. Znajdował się w armii generała Ilurki, która wówczas dokonała bohater-skiego czynu przejścia przez Balkany. Zarzuty jakie mu czyniono, sposób w jaki całą sprawę przesadzono i wykręcono, w farsie wydałyby się nieprawdopodobne...

„Zwołano świadków, mających świadczyć o jego charakterze. Każdy miał tylko wyrazy największego uznania. Nie licowało to zupełnie z oskarżeniem. Gdyby oskarżenie jakie przeciw d-rowsi Weimarowi wniesiono było prawdziwe, to należałoby tylko wnosić, że wybitny, ceniony słusznie, obywatel, tak zrozpaczył o stanie, w jakim się jego ojczyzna znajduje, że połączył się z takimi uczestnikami zabójstw, jak Sołowiew i inni i przystąpił do ich spisku. Zdawałoby się, że w toku rozpraw przytoczone będą dowody, obniżające charakter oskarżonego i osłabiające pochwały, z jakimi się o nim wyrażono. Nie z tego! Oskarżyciel publiczny mówił:— „Panowie! Mógłbym sprowadzić cały

szereg świadków, których zeznania byłyby przeciwieństwem tych, jakie słyszeliśmy, niestety wszyscy są nieobecni“. Sądowi wojennemu wystarczyło oczywiście zapewnienie jednego generała.

Nie nad to zdarzenie nie rzuca jaśniejszego światła na okropne stosunki społeczeństwa rosyjskiego i wymiar w niem sprawiedliwości: albo nieznośny biurokracyzm rosyjski rzucił jednego z najszlachetniejszych obywateli Rosyi w objęcia spisku, albo doktor Weimar bez powodu został osądzony i skazany. Jak zawsze, proces ten był w każdym razie, jeśli tak było jak głosiły sprawozdania, hańbą dla sądów wojennych”.

Wielka księżna Dagmara, obecna Cesarzowa, której lazaretem Weimar kierował, interesowała się nim i uważała go również za niewinnego; ale i jej wstawiennictwo wówczas nie pomogło. Gdy jednakże r. 1881 małżonek jej doszedł do rządów, posłała pułkownika Norda do okręgu Karskiego, by obdarzył doktora Weimara wolnością, pod warunkiem jednak, ażeby ten przyrzekł uroczyście, iż żadnych wrogich kroków przeciw rządowi nie przedsięwzięmie. Odparł, że takiego przyrzeczenia uczynić nie może, póki obecne stosunki w Rosyi będą mu nieznanne. Jeśli rząd zgodzi się, pod słowem honoru, że nie ucieknie, albo pod dozorem by przybył do Petersburga, ażeby się z obecnymi stosunkami zapoznać, to wówczas będzie się mógł szybko zdecydować. Naprózno pułkownik Nord usiłował odwieść go od tego postanowienia. Naprózno.

Kiedy byliśmy w Karskim okręgu, doktor Weimar był już z więzienia wypuszczony, lecz, jak

to wspominałem, leżał ciężko chory na suchoty, których, jak tylu innych, nabawił się w więzieniu. Towarzysze jego niedoli chcieli mnie w ową noc, w której zeszedliśmy się w chacie u Armfeldtów, do niego zaprowadzić i wspomnieli przytem, że tak osłabiony jest, iż z trudnością mówi i każdej chwili umrzeć może. Moje niespodziane zjawienie się jednak u panny Armfeldt, takie uczyniło wrażenie na niej i jej towarzyszach będących stosunkowo zdrowymi, że obawiałem się, iż moja wizyta o północy, zanadto go wzburzy. Żałowałem tego potem, gdyż Weimar umarł, a ja go nie widziałem.

W niespełna pół roku potem, gdy znajdowałem się znów w powrotnej drodze w Petersburgu, odwiedziła mnie pewna młoda osoba, jego narzeczona i pytała mnie, czy nie przywiozłem od niego listu, lub jakiego ustnego zlecenia. Szykowała się właśnie do podróży, ażeby tam połączyć się z Weimarem węzłem małżeńskim, gdy otrzymała od kapitana Nikolina telegram, w którym donosił jej o śmierci narzeczonego. Odtąd kilka już upłynęło miesięcy nic o nim nie słyszała; ani on sam nie mógł przed śmiercią do niej parę słów napisać, ani nikt z zesłańców nie mógł tego uczynić. Miała więc jeszcze nadzieję, że ja jej coś przywiozę.

Ciężko mi też bardzo było oznajmić jej, że go w czasie pobytu mego nie widziałem, jakkolwiek sposobność mogła się nadarzyć.

Później odwiedziłem ową młodą osobę. Opowiedziała mi życie całe tego dzielnego człowieka, dała mi do czytania listy, jakie pisał do niej z pola walki w Bułgarii i z płaczem pokazała mi

najdroższą po nim pamiątkę: robotę jego, którą zrobił w celi swojej więziennej w Karze i którą udało mu się jej przesłać potajemnie. Był to długi, wąski pas grubego płótna zgrzebnego, jaki używają na koszule dla więźniów, a na nim wyhaftowane kolorowe figury geometryczne.

— Jakie myśli on w tę tkaninę wpłatał!—zawołała młoda kobieta z oczami łez pełnemi.

Po ostatniej mojej wizycie u panny Armfeldt, pozostaliśmy jeszcze pięć dni w Karze, nie nie przedsięwziąwszy, ponieważ byliśmy pilnie strzeżeni. Zamiast jednak opisywać mniej interesujące przygody naszego dalszego tam pobytu, w krótkości opiszę raczej to, czego się dowiedziałem o więzieniach w obwodzie Karskim. To zaś, co opowiem, polega na najzupełniejszej prawdzie, o czem najstaranniej usiłowałem się przekonać. Wiele dat nawet pochodzi ze źródeł urzędowych. Być może, iż wkradły się tu jakieś pomyłki, za prawdziwość jednak tych wszystkich danych mogę zupełnie ręczyć. To, co piszę o pułkowniku Kononowiczu, dowiedziałem się częściowo od przestępców politycznych, częściowo od urzędników w Karze, Czycie, Irkucku i Petersburgu. Żałuję, że niepodobna mi bliżej wskazać z kąd i w jaki sposób do wiadomości tych dat doszedłem. Wzmocniłoby to wrażenie słów moich, gdybym mógł dodać, że dane moje pochodzą ze źródeł najwiarogodniejszych, od osób, których stanowisko daje dostateczną rękojmię, ażeby wykluczyć wszelkie podejrzenie stronności.

Już w r. 1873 politycznych przestępców zsyłano do okręgu Karskiego od czasu do czasu, lecz później w r. 1879 zsyłano ich tam stale. Przeważna część skazanych na ciężkie roboty do tego czasu była trzymana w fortecy Petropawłowskiej, w Petersburgu, albo w wielkich więzieniach w Charkowie.

Ponieważ jednak ruch rewolucyjny zaczął się coraz bardziej szerzyć i więzienia w europejskiej Rosji coraz bardziej zapelniały się przestępcami politycznymi, minister spraw wewnętrznych, najciężej oskarżonych kazał przenieść do okręgu Karskiego, gdzie umieszczono ich w więzieniach dla zwykłych przestępców, ponieważ dla politycznych specjalnych jeszcze cel nie było. Zamknięto ich, każdego oddzielnie w tak zw. „celach sekretnych”. Później przeniesiono ich do środkowej części okręgu Karskiego i umieszczono w starym budynku. Obchodzono się z nimi, jak ze zwykłymi zbrodniarzami, pracować musieli w płóczkarniach złota a po pewnym przeciągu czasu zyskiwali pozwolenie na zamieszkanie na stopie „wolnej komendy”.

W grudniu r. 1880 w więzieniach w Karze znajdowało się około 50 politycznych przestępców, a 9 mieszkało na stopie „wolnej komendy” w chatkach. Większa część mężczyzn pełnić musiała ciężkie roboty w kopalniach złota; nazbyt jednak nie czuli się tem przeciążeni, tak że nawet woleli wyjść na kilka godzin z ciemnych, brudnych i cuchnących cel, ażeby popracować przez ten czas na świeżem powietrzu.

Zarząd koloniami karnymi spoczywał wówczas



w rękach pułkownika Kononowicza, człowieka wykształconego, humanitarnego, którego więźniowie do dziś zachowują w życzliwej pamięci. Niepodobna twierdzić, żeby miał choć odrobinę sympatyzować z rewolucjonistami, ale wiedział, że większość skazańców byli to ludzie szlachetni, wykształceni i wiedział, że czyny ich, jakkolwiek je potępiał, nie pochodziły z pobudek osobistych; obchodził się też z nimi z względną dobrocią, i jak mógł niósł ulgę w smutnem życiu.

Za czasów jego znajdowało się w więzieniu w Karze kilku politycznych przestępców, którzy, na rozkaz oficera żandarmeryi skazani byli, jako na karę dyscyplinarną, na przykucie do tacek <sup>1)</sup>. Pułkownik Kononowicz dla okrutnej kary wrogo był usposobiony, ale nie w jego mocy leżało ją zmienić; ilekroć jednak wypadła jego inspekcya w więzieniach na ten czas przynajmniej kazał wyż wymienionych uwalniać od tacek, aby sobie oszczędzić tak smutnego widoku.

Pod koniec r. 1860 ukazał się rozkaz ministra spraw wewnętrznych, który tak skąpe prawa poli-

---

<sup>1)</sup> Według przepisów takie obostrzenie kary dziś jeszcze jest dopuszczalne i stosowane do ludzi, skazanych na dożywotnie ciężkie roboty. Przestępca przykuty jest do swej taczki górniczej, przyczem kajdany pozwalają mu na bardzo małe poruszenia. Nie może chodzić swobodnie, nie może nawet ruszyć się w celi, nie ciągnąc za sobą taczki; nawet do snu nie jest od niej uwolniony. Wówczas czterech przestępców politycznych skazanych było na przykucie. Nazwiska ich: Popieko, Berezniuk, Fomiczew i Szedrin. Ostatni zwolniony został od taczki dopiero w r. 1884.

tycznych przestępców jeszcze ograniczył; między innymi zabroniono im odtąd utrzymywać stosunki piśmienne z krewnymi i znajomymi; zabroniono pracować w pluczkarniach, przyczem mieli sposobność odetchnąć świeżem powietrzem i przez ruch fizyczny dać bezczynności ciała odpoczynek; wreszcie zniesiono „wolną komendę”; wszyscy, należący do niej, zostali napowrót wtrąceni do więzienia, gdzie nałożono im kajdany i jak zwyczajnym zbrodniarzom ogolono część głowy. Rozkazy te wydał „liberalny” minister, Loris Melikow. Nie mogę sobie wcale wytłumaczyć, dla czego to uczynił, kiedy z drugiej strony zaznaczał swoje poglądy liberalne. Zdziwienie moje z tego powodu wyraziłem różnym urzędnikom na Syberyi i otrzymałem na to rozmaite wyjaśnienia. Jedni sądzili, że chce on w ten sposób dać ciężej odczuć rewolucyonistom ich przekroczenia; inni przypisywali to fałszywym informacyom, co i mnie wydało się najprawdopodobniejszym; sami jednak przestępcy nie byli tak łagodnie wobec Melikowa usposobieni i uważali jego liberalne przekonania za fałsz i kłamstwo.

Pułkownik Kononowicz bardzo był z tych obostrzeń niezadowolony i robił wszelkie usiłowania aby je cofnięto, a przynajmniej złagodzone. Wszystkie jednak jego starania były bezowocne. Dnia 28 grudnia zatem zwołał będących na „stopie wolnej komendy”, zawiadomił ich o rozporządzeniu, dodał, że usiłował na próżno wykonania go ominąć i że na własną już odpowiedzialność daje wszystkim trzy dni do uporządkowania swych interesów. Pierwszego stycznia jednak muszą powrócić do więzienia.

Ciężki to był cios dla skazańców!

Dwa lata przeżyli oni na względnej wolności, wielu połączyło się z żonami i dziećmi, które przybyły z bardzo odległych okolic—i teraz wszystko musieli zostawić, musieli znów powrócić do wstrętnych brudnych, z powietrzem przesyconem najzaraźliwszymi miazmatami, cel. Niektórzy byli fizycznie tak chorzy, że powrót do więzienia dla nich jednoznaczny był ze śmiercią.

Wśród pozostających wówczas na stopie wolnej komendy był 33-letni prawnik, Eugeniusz Siemionowski. Był on synem znanego lekarza z Kijowa i był przez wszystkich, co go znali, bardzo wysoko ceniony; praktykował jako adwokat w Petersburgu; został skazany za to, że był w stosunkach z organem partji rewolucyjnej *Naprzód*. Około pięciu lat przebył w więzieniu nad Karą, potem przyłączony został do wolnej „komendy”, zdrowie jego bowiem silnie szwankowało. Kiedy zesłańcy „wolnej komendy” po raz ostatni zebrali się w wieczór Sylwestrowski Siemionowski wydawał się bardziej, niż zazwyczaj przygnębiony, a kiedy się rozchodzili, zegnał się z towarzyszymi niedoli niezwykle serdecznie. Jeden z nich, Czaruszin, z którym zamieszkiwał jedną chatę, o drugiej w nocy zbudzony został wystrzałem z rewolweru. Pobiegł do izdebki towarzysza i ujrzał go z roztrzaskaną czaszką leżącego na podłodze; żył wprawdzie jeszcze, lecz przytomności nie odzyskał i umarł w godzinę potem. Na stole leżał list do Czaruszina, w którym go prosił, ażeby zostawił pismo, jeśli to będzie mo-

żliwe posłać ojcu. List ten w tłumaczeniu brzmi jak następuje:

„Noc Sylwestrowska 1880/81 r.

Drogi Ojcze!

Wracam od moich towarzyszków, wśród których rok stary spędziłem. Nowy rozpoczyna się dla nas wśród najokropniejszych warunków: Dostałeś może list od żony jednego z naszych towarzyszków; prosiłem ją, aby ci doniosła, że zabroniono nam pisać listy, nawet do rodziców. To było okrutne, ale zaszło coś okrutniejszego, o czym ci teraz dopiero donoszę, bom przedtem nie wiedział. W jakie dziesięć dni po napisaniu tamtego listu, zawiadomiono nas, iż powracać musimy do więzień, znów skuci w kajdany.

Dziesięciu nas: Szyszko, Czaruszyn, Kwiatkowski, Uspienski, Sojuzow, Bogdanow, Tierentjew, Tewdul i ja, w ostatnich dwóch latach oddychaliśmy trochę swobodniej. Od chwili jednak, gdy Loris Melikow zabronił pisać listy, żyliśmy w niestannem oczekiwaniu czegoś gorszego. Jutro wszyscy mają wrócić do więzienia; gdyby nie względy, jakie miał dla nas pułkownik Kononowicz, stałoby się to już natychmiast po wydaniu rozkazu. Obdarzył nas jeszcze trzema dniami wolności, ażeby każdy mógł interesy swoje załatwić. Ostatni dzień naszej wolności użyliśmy na święcenie starego roku; ja zaś zużytkuję go jeszcze do innego celu. Czy nie nadużywam w ten sposób zaufania pułkownika? A—gdyby nawet—nie mogę inaczej!

Kto czyta wyrazy. „Jutro wszyscy do więzienia”, mógłby nas może porównać do stada baranów, dobrowolnie na rzeź idącego; ale tak sądzić byłoby niesprawiedliwością, wszystko co moglibyśmy wobec tego uczynić to uciec, ale jak? dokąd? bez żadnych zgoda pieniędzy, w mróz 35 - stopniowy. Zresztą dlaczego nie uciekamy, objaśni cię wyraźnie list, który pisałem do ciebie w ostatnich dniach sierpnia.

Gdyby rozkaz powrotu do więzienia był wydany na wiosnę, próbowałbym ucieczki, miałbym jakąś nadzieję, że się uda. Ale inaczej się stało. Czuję, że siły opuszczają mnie z dniem każdym, obawiam się, że umysł mój również na tem ucierpi i że zidyocieję. Tego uczucia doznaję na stopie względnej wolności; cóż się stanie, gdy mnie znowu zamkną w celi. Dotąd podtrzymywała mnie nadzieja, że prędzej czy później jednakże do Rosyi powrócę i służyć znów będę dobrej sprawie, której życie poświęciłem. Jaki jednak mogłaby ona mieć pożytek z człowieka, fizycznie i umysłowo złamanego! A cóż mi pozostaje w życiu, skoro tracę tę nadzieję! Zadowolenie z samego siebie? Zanimby nadeszła godzina spełnienia mych pragnień, możnaby mnie dziesięć razy wziąć na tortury.

Tak więc przyszedłem do przekonania, że życie moje jest bezcelowe, i że mam prawo je zakończyć. Oddawna już wszystkiem jestem znudzony śmiertelnie i tylko myśl o ojczyźnie powstrzymywała mnie dotąd od samobójstwa. Wiem o tem, drogi Sasza<sup>6)</sup>, że sprawiam tobie i tym, którzy mnie ko-

<sup>6)</sup> Ukochany brat i szwagier.

chają ból głęboki. Ale czyż miłość wasza nie jest dość szlachetną, aby przebaczyć samobójstwo człowiekowi, tak okrutnie dręczonemu? Przecież w ostatnich pięciu latach zdręczano mnie na śmierć. Na wszystko, co wam jest drogie, zaklinam was, przebaczenie mi! Wszak wiecie, że ostatnie myśli moje są przy was, że dla was chciałbym żyć dłużej, ale sił mi na to dłużej nie starczy. Szaleństwo — albo śmierć! Pozostaje mi wybór — wybrałem ostatnią.

Zegnaj na zawsze ojciec i wierny przyjacielu! Zegnaj, Sasza, i mój bracie najmłodszy, którego znam za ledwie. I zapamiętajcie sobie: lepiej śmierć, choćby taka, jak moja, niż życie, pozbawione cześci i celu.

Raz jeszcze: żegnajcie, zachowajcie w dobrej pamięci waszego syna i brata, który nawet w nieszczęściu umiał znaleźć pociechę.

„*Eugeniusz*”.

Na cmentarzu przestępców politycznych — samotnym pagórku, pochowali zwłoki Siemionowskiego. Prosty krzyż drewniany, postawiony na grobie, zgnije i wówczas nikt nie znajdzie miejsca wiecznego spoczynku człowieka, którego wybitne zdolności i charakter szlachetny mogły zbawiennych czynów dokonywać, na służbie wolności i humanitarności.

Pułkownik Kononowicz do żywego dotknięty był samobójstwem Siemionowskiego; ale miało się stać coś jeszcze gorszego. Ten wypadek był tylko pierwszym ogniwem łańcucha smutnych innych wypadków, wywołanych przez rząd obostrzeniami. Wkrótce potem inny więzień polityczny, nazwi-

skiem Rodin otrul się płynem, przyrządzonym z folforu od zapalek; wspomniany w liście Uspienski powiesił się w łaźni, a pani Kowalewszaja, siostra znanego rosyjskiego ekonomisty, Wowetowa, zważywała, wpadając w furję, tak, że trzeba jej było nałożyć kaftan bezpieczeństwa.

Pułkownik Kononowicz był tak temi strasznymi wypadkami wstrząśnięty, że postanowił za jaką-bądź cenę usunąć się z zajmowanej posady. Napisał więc do generał-gubernatora i do ministra spraw wewnętrznych oświadczając, że nowe zarządzenia nietylko są nierozumne, ale i okrutne. Jeżeli się chce tak obchodzić z zesłańcami, to należy raczej tutaj do wykonywania takich rozporządzeń przysłać kata; on takim nie jest i nie może się zdecydować wykonywać rozkazów, zadających gwałt wszelkiemu poczuciu ludzkości. Z tych powodów prosi o uwolnienie z zajmowanego stanowiska.

Otrzymał je. W lecie 1881 r. pułkownik Kononowicz opuścił obwód Karski, udając się prosto do Petersburga. Podczas przejazdu przez Irkuck, generał-gubernator Anuszin zwrócił się do niego chłodno i lekceważąco:

— Człowiek z pańskimi zapatrywaniami istotnie nie nadaje się na naczelnika obwodu Karskiego. Tak, sądzę, że pan wogóle nie nadaje się do służby rządowej.

— W takim razie ją zupełnie opuszczę — odpowiedział bez zastanowienia pułkownik.

W Petersburgu, miał rozmowę z ówczesnym sekretarzem ministeryum spraw wewnętrznych, panem Duruowo, i między innymi rzekł, co następuje:

— Umiałem zawsze szanować prawo i nakazać to innym. Jeżeli chcecie skazańców z Kary zrobić posłusznymi prawu i zmusić ich do szacunku dla rządu, musicie im dać przełożonych z takimi, jak ja, zapatrywaniami. Tego, co uczyniłem, nie uczyniłem z przyjemnością, mogło to mi tylko szkodzić; niewątpliwie otrzyma pan na mnie skargi. Ja jednakże nie obawiam się przeciwników i nie uczynię nigdy nic, co nie będzie w zgodzie z mojem sumieniem. Zarządzenia rządu uczyniły mi dalsze kierownictwo kolonią karną niemożliwe i dlatego prosiłem o zwolnienie mnie od obowiązków. W żadnym innym podobnym wypadku nie mógłbym inaczej postąpić.

Dalsze zdarzenia w koloniach karnych w Karsze, które opisuję w następnym rozdziale, niejednokrotnie powinny były sekretarzowi ministerjum przypomnieć słowa tego dzielnego i szczerego człowieka.

Niestety, o bardzo niewielu więźniach na Sybryi i o bardzo niewielu tamtejszych urzędnikach możnaby coś pochlebnego powiedzieć, tembardziej też cieszy mnie, że mogę skonstatować, iż pułkownik Kononowicz ogólnie był bardzo chwalony. Polityczni przestępcy, jak również i przywoitsi urzędnicy i obywatele cenili go, jako człowieka wykształconego, ludzkiego i uczciwego. Wszystkie ulepszenia, w obwodzie Karskim zarządzone, dotyczą czasów jego urzędowania. Dlatego też żałować należy, że surowi urzędnicy rosyjscy zmusili go do wydalenia się z Syberyi. Im wydał się „słabym” i „sentymentalnym”, uważali go za „socjali-



stę", który z politycznymi potajemnie sympatyzował. Isprawnik z Nerczyńska ośmielił się nawet oświadczyć w klubie, że on się już o to postara, aby pułkownik Kononowicz z żółtą łata skazańca na kattanie zesłany został do Irkucka.

Wyżsi urzędnicy dawali łatwo posłuch różnym plotkom, czego dowodem to, co następuje w mojem opowiadaniu.

W ostatnim roku jego urzędowania w Karze zesłany tam został, jako przestępca polityczny młody człowiek, nazwiskiem Bibikow. Cierpienia, jakie znieść musiał w czasie transportu usposobiły go podejrzliwie względem wszystkich i uczyniły zupełnie dzi kim; w każdym widział wroga, którego musiał zwalczać. Kononowicz przyjął go życzliwie, posłał mu za pośrednictwem żony jednego z więźniów świeżą bieliznę, w inny sposób starał się też pamiętać o jego najpilniejszych potrzebach i usiłował uspokoić zapewnieniem, że nikt go tu nie obrazi, ani cierpień nie przysporzy. Młody zesłaniec był jednocześnie przerażony i wzruszony takim postępowaniem, czemu dał wyraz w liście, wysłanym potem do jednego ze swych przyjaciół w Rosyi.

„Poznawszy pułkownika Kononowicza, — pisał, — przekonałem się, że pułkownik rosyjski nie musi być pozbawiony wszelkich ludzkich uczuć.” List ten przejęty został przez policję i minister spraw wewnętrznych posłał go do gubernatora kraju Zabajkalskiego, generała Iliaszewicza, ażeby żądał od pułkownika Kononowicza wyjaśnienia; list miał stanowić dowód sympaty pułkownika dla politycznych przestępców.

Kononowicz pozostawił wezwanie to bez odpowiedzi, a kiedy w jakiś czas później odwiedził gubernatora w sprawach służbowych, ten zapytał go, czy otrzymał jakie pismo.

— Tak,—odparł Kononowicz—ale jakąż miałem dać na to odpowiedź? Czyż potrzebowało usprawiedliwienia to, że nie jestem uważany za „pozbawionego wszelkich uczuć ludzkich?”

Gubernator nie wiedział dobrze sam, co ma na to odpowiedzieć; zmieszany niemal, zauważył, że sekretarz jego prawdopodobnie niezupełnie jasno się wyraził i skierował rozmowę na inne tematy, do tego już więcej nie powracając.

Pułkownik Kononowicz, opuściwszy Karę, objął komendę w Nereczyńsku u kozaków Zabajkalskich. Tutaj spostrzegł wkrótce, że kilku oficerów jest w zмовie z „isprawnikiem” i za kilkaset rubli uwalniają od służby wojskowej popisowych. Usiłował schodzących z drogi obowiązku pociągnąć do odpowiedzialności; mieli oni jednak w Irkucku wpływowych przyjaciół; starali się na oskarżenia odpowiedzieć oskarżeniami; mogło być istotnie przyjść do tego, że pułkownik ze wspomnianą „zółtą łatą na kaftanie” byłby wysłany do Jakucka, gdyby nie miał również wpływowych przyjaciół w Petersburgu. Zwrócił się do nich i do ministra spraw wewnętrznych i osiągnął wreszcie, że ustanowiono nową komisję śledczą. Isprawnik i inni winowajcy zostali uwięzieni i wkrótce udowodniono im przez znalezione papiery winę. Ale towarzysze uwięzionych, w mroźną noc zimową podpalili dom pułkownika, i wraz z całą rodziną byłby spłonął, gdyby

w nocnych ubraniach nie byli wszyscy uciekli z palącego się domu. Skoro rodzina jego już była bezpieczna, pośpieszył z powrotem ratować schowane u niego, a dotyczące procesu, papiery, co jednak wskutek szerzących się płomieni i dymu nie było możliwem. Tak więc wszystkie dowody oskarżenia zginęły. Teraz pułkownik doszedł do przekonania, że dłużej na Syberyi pozostawać nie może, że nie może żyć w kraju, w którym uczeiwy człowiek narażony jest na takie niebezpieczeństwa. Pojechał do Petersburga. Tutaj otrzymał miejsce w sztabie generalnym, gdzie pozostawał aż do lata r. 1888-go, w którym to czasie awansował na generała i objął naczelne dowództwo nad ważną kolonią karną syberyjską—na wyspie Sachalinie.

Do ostatnich, wprowadzonych przez pułkownika Kononowicza, innowacyi w obwodzie Karskim należało założenie więzienia dla przestępców politycznych przy „Wyższej Płóczkarni.” Pułkownik Nikolin, jego następca, wzbronił nam tu wstępu. Z wyglądu zewnętrznego mało się różni więzienie to od innych podobnych budynków, ma być jednak o wiele jaśniejsze, bardziej przestronne i ma więcej powietrza; oprócz oddziału dla chorych, posiada 4 sale, urządzone na 25 osób każda. Łóżka jednak są tylko w oddziale dla chorych; z więźniów zaś ten ma, który się sam w nie zaopatrzy. Początkowo część tylko budynku otoczona była wysoką palisadą. Generał-gubernator Anuczin jednak podczas jednej ze swych rzadkich bardzo wizytacyi uznał to za konieczne.

— Więzienie, to nie pałac,—zauważył cynicz-

nie,—i rozkazał cały budynek otoczyć wysoką palisadą tak, że więźniowie odtąd pozbawieni byli wszelkiego widoku świata. Nie był to niewątpliwie kaprys jednego gubernatora, ale obmyślana dobrze tendencya uczynienia politycznym przestępcom ciężkiego ich losu o wiele cięższym.

Odtąd odmówiony im miał być widok jasnego słońca, zieleni trawy i purpurowych zachodów słońca; odmówiony im był widok człowieka, nie noszącego sukien więziennych.

Niejednokrotnie życzyłem w duchu jego ekscelelencyi, panu generał-gubernatorowi, ażeby przez jeden rok tylko zakosztował życia więźniów politycznych w Karze, żeby przez 365 dni miał widok tylko na mur wysoki, żeby 365 nocy spał na twardej pryczy, pełnej robactwa, żeby 52 tygodnie, dzień i noc oddychać musiał zatrutem, wstrętnem, przepojonem smrodliwemi wyziewami powietrzem cel więziennych. Wówczas dopiero zrozumiałby z pewnością znaczenie wypowiedzianego zdania: „Więzienie nie jest pałacem!”

---

## 6. Więzienie politycznych przestępców w obwodzie Karskim.

Gdy pułkownik Kononowicz usunął się w roku 1881 od kierownictwa koloniami karnymi w Karze, powołano na jego następcę, majora Potułowa, który zajmował dotąd jakieś inne stanowisko w zarządzie więzień kopalni srebra w Nerczyńsku.

Wkrótce po objęciu przez niego urzędu wszystkich politycznych przestępców—było ich około stu—przetranzłokowano do niższych płóczkarni, do nowych więzień, które kazał zbudować pułkownik Kononowicz, i tam ich w celach zamknięto. Dni, jakie tu przebyli były, jak świadczą listy potajemnie przyjacielom przesyłane,<sup>1)</sup> ciężkie, ale nie zupełnie nieznośne. Mogli codziennie odbywać przechadzkę na po-

<sup>1)</sup> Kilka tych listów mam w swoim posiadaniu i wiele z następnego opowiadania mego z nich zaczerpnąłem, jako świadectwo zupełnie bezstronne nie mogą one uchodzić, zapewne, ale nie były pisane tendencyjnie; wysyłający nie mogli przecież wiedzieć, że będą kiedykolwiek opublikowane.

dwórze, mogli otrzymywać przesyłane im drobne przesyłki, mieli książki, które mogli kupować za własne pieniądze albo otrzymywali z Rosyi, także od czasu do czasu znajdowali pewną rozrywkę przy robocie w warsztatach stolarskich i ślusarskich. Skąpym tym stronom dodatnim przeciwstawione jednak były ciężkie męczarnie: niektórzy z więźniów dzień i noc byli zakuci w kajdany, kilku nawet do tacek przykutych. Musieli siedzieć w pustych salach, ponieważ nie dopuszczano ich do robót w płóczkarniach złota i słuhać bezrozumnej paplaniny swych towarzyszy, obłąkańców, których wspólnie z nimi zamykano. Nadzieja zażycia szczypty swobody, po upływie pewnego czasu „na stopie wolnej komendy” znikła, a wszelkie pisanie było odmówione; cały świat ich koncentrował się w obrębie podwórza więziennego.

W marcu r. 1882 generał-gubernator Syberyi, generał Anuczyn, wystosował do cesarza tajny raport, w którym tak się wyraża o politycznych przestępcach:

„Kończąc tę część mego sprawozdania, chcę prosić Najjaśniejszego Pana, ażeby raczył wysłuchać jeszcze mych uwag o przestępcach politycznych, znajdujących się we wschodniej Syberyi.

Dnia 1-go stycznia 1882 r. było ich tam 430, i tak:

- a) skazanych z wyroków sądowych:
  - 1) na roboty ciężkie 123
  - 2) do kolonii karnych 49
  - 3) do wskazanych miejscowości 41
- b) zesłanych drogą administracyjną:

1) do wskazanych miejscowości 217

Razem 430 <sup>1)</sup>

Wszyscy skazani na ciężkie roboty dozorowani są w okręgu kopalni złota przez sotnię kozaków zabajkalskich. Niepodobna tym przestępcom kazać razem w płóczkarniach złota pracować ze zwykłymi przestępcami. Oddzieleni od nich też pracować tam nie mogą, bo brak jest w wielu miejscowościach dostatecznej ilości straży, a także większość nie jest dość silna do takich robót.<sup>2)</sup> Dawanie zaś pracy nieprodukcyjnej więźniom, tylko po to, aby zająć ich fizycznie, nie jest u nas w użyciu; nie mamy zajęcia dla tych przestępców, a władze miejscowe, surowo odpowiedzialne za zdarzające się ucieczki, zmuszone są zostawiać ich pod silną strażą w więzieniach i tylko od czasu do czasu, na miejscu, albo w najbliższej miejscowości, używać do nadarżających się robót.

Takie roboty jednak nie mogą uchodzić za „roboty przymusowe” to raczej krzepienie sił fizycznych. Zresztą uwolnienie ich od tych robót nie można uważać za polepszenie ich położenia, przeciw-

<sup>1)</sup> Okoliczność to godna uwagi, iż sam gubernator podaje, iż więcej niż połowa, t. j. 217 zesłanych, było bez wyroków sądowych. Tą okoliczność polecam uwadze wszystkich rzeczników rosyjsko amerykańskiego traktatu o wydawaniu przestępców politycznych.

<sup>2)</sup> Dlaczego niepodobna jest pozwalać przestępcom politycznym pracować razem z innymi, pan generał-gubernator nie motywuje. Nie objaśnia też „dlaczego pod zarządem pułkownika Kononowicza było to jednakże możliwe, i nie zdarzył się żaden przypadek ucieczki, ani jakikolwiek inny.“

nie. Zupełne odosobnienie czyni ich życie trudnem do zniesienia...

Zdarzyły się wśród nich wypadki samobójstwa a jeden, nazwiskiem Pacen, dostał pomieszania zmysłów, stan zaś umysłowy innych graniczy z szaleństwem. Porozumiałem się z ministrem spraw wewnętrznych, aby chorych umysłowo przenieść do specjalnie wynajętego domu w Czycie, ponieważ na Syberyi niema domów dla obłąkanych, a w Rosyi europejskiej wszystkie są przepełnione..."

Oto, co stoi w sprawozdaniu general-gubernatora do cesarza, rozdział V, część 3, pod tytułem: „Zesłania, ciężkie roboty, oddział więzienny.” Odpis tego znajduje się w mojem ręku. W oryginale dopisano własnoręcznie słowa cesarza: „Grustnaja, no nie nowaja kartina.” (Obraz smutny, ale nie nowy).

W trzy i pół lat później zwiedzaliśmy obwód Karski, a zapowiedziane przez general-gubernatora przeniesienie chorych umysłowo do osobnego budynku dotąd uskutecznione nie było. Zawsze jeszcze zajmowali wspólne cele ze zdrowymi umysłowo towarzyszami, czyniąc im swoją obecnością życie trudniejsze jeszcze do zniesienia. Wogóle w więzieniach wschodniej Syberyi bardzo mało uczyniono dla chorych umysłowych. W niejednym więzieniu kraju Zabajkalskiego, przerażały nas przy wejściu dzikie krzyki i śmiechy napadających na nas obłąkańców. W całym kraju — jak to też zaznaczone jest i w sprawozdaniu, nie ma zakładu dla waryatów, a władze uważają, że o wiele wygodniej polecać pieczę nad nimi ich współtowarzyszom, niż



samemu się o to troszczyć, lub dawać im dozorców. Dla ludzi wykształconych, co się obłąkania daleko więcej lękają, niż każdej innej choroby, musi być okropnie przygnębiający ciągły widok tego straszego nieszczęścia, którego się sami prędzej lub później spodziewają.

„Trudnym do zniesienia” nazywa general-gubernator w sprawozdaniu swoim stan beczynny skazańców. Czyż tego jednak sam rząd nie spowodował? Z polecenia wszak rządu ustawiono przed oknami więzień wielki ów parkan, odejmujący więźniom wszelki widok, a minister spraw wewnętrznych, bez żadnego powodu, zniósł „wolną komendę” i nakazał zupełne odosobnienie przestępców politycznych. Przyniosło to też ze sobą samobójstwa i szaleństwa.

Jakżeby można też przypuszczać, ażeby młodzi, pełni sił ludzie, znosić mogli jako tako położenie, które władza uznała za „trudne do zniesienia.”

W kwietniu 1882, w rok zaledwie po usunięciu się pułkownika Kononowicza, w miesiąc po odeśłaniu wspomnianego raportu Anuczina, kilku najśmielszych przestępców politycznych w Karze powzięło zamiar ucieczki. Wygrzebali więc przedewszystkiem otwór pod murem więziennym, który wprawdzie nie został odkryty, ale nie mógł służyć, bowiem niespodzianie napełnił się wodą zaskórnią. Jeden więc z zesłańców zaproponował, ażeby ukryli się na dzień w warsztatach, gdzie chwilowo pracować mogli, by potem, w nocy po ciemku, móżdż przeleźć przez mur więzienny. Największym skokiem było wieczorne liczenie więźniów. Codziennie

po wieczerzy liczono więźniów w celach, zatem brak kilku musiał być odkryty, zanim zbiedzby zdolali. Wpadł im jednak do głowy dobry pomysł; nie było zwyczaju, ażeby dozorca, przychodzący liczyć, budził śpiących; z łachmanów tedy zrobili kilka lalek i położyli je na pryczach. Ponieważ liczenie odbywało się zwykle u drzwi, przypuszczalnem było, że urzędnik nie zauważy. Gdyby się plan powiódł, uciekinierzy zamierzali udać się wzdłuż doliny Amurskiej ku Oceanowi Spokojnemu, i tam na jakimkolwiek okręcie amerykańskim uciekać dalej. Pozostali w więzieniu mieli codziennie przy liczeniu kłaść lalki na pryczach, ażeby ucieczka możliwie długo była nie wykryta i uciekinierzy, zyskujący na czasie, mogli dotrzeć do brzegu, zanim się za nimi puszcza w pogoń.

Pewnego tedy kwietniowego popołudnia ukryli się dwaj więźniowie, Mniszkin i Kruszczew i na prycze położono dwie w więzienne suknie ubrane lalki. Podstęp udał się. Dozorca nie dostrzegł braku, obaj przeleźli w ciszy nocnej przez parkan, i dotarli szczęśliwie do lasu. W kilka dni później w ten sam sposób udali się za nimi dwaj inni więźniowie, a po upływie dwóch tygodni leżało już na pryczach sześć wypchanych lalek, zaś po upływie tygodnia przyłączono do nich jeszcze czwartą parę. Nieszczęście chciało, że jeden z tych ostatnich przy zeskakiwaniu z muru wpadł w dół napęczniony wodą. Plusk zbudził sztyldwacha, który dał ognia i w przeciągu 10 minut wszystko było na nogach. Dokładne obrachowanie wszystkich więźniów, jakie niezwłocznie nastąpiło, wykryło nieobecność ośmiu osób.

Na kilka dni przed tem odkryciem dyrektor zarządu więzień, Wraskoj i gubernator kraju Zabajkalskiego, generał Iliaszewicz, przybyli zwiedzać więzienie w Karze i znajdowali się właśnie w powrotnej drodze do Czyty. Zawiadomieni natychmiast przez majora Potułowa o tem, co się stało, niezwłocznie powrócili i osobiście zorganizowali energiczne śledztwo uciekinierów.

Do wszystkich portów Oceanu Spokojnego rozesłano telegraficzne zlecenia, wszyscy urzędnicy policyjni zaopatrzeni zostali w opisy i, o ile to było możliwe, w fotografie; wydano rozkaz zatrzymywania wszystkich podejrzanych podróżnych, i liczni mieszkańcy Syberyi, znęcani obietnicą wynagrodzeniem, przebiegali leśne przestrzenie kraju Zabajkalskiego, ażeby chwycić uciekających.

Wobec takich środków pozostawała oczywiście słaba nadzieja ocalenia. Uciekinierzy byli osłabieni fizycznie, nie znali drogi, nie mieli ani map, ani kompasu do rozporządzenia. Tylko dwóm pierwszym udało się dotrzeć do Władywostoku, ale i tych, jak i tamtych, skutych w kajdany nazad przyprawiono.

Teraz więc należało dać przestępcom politycznym „lekcję”, zaprowadzić porządek w więzieniu<sup>1)</sup>. Postanowiono zatem odjąć więźniom wszelkie

<sup>1)</sup> Używam tu słów majora Potułowa, jakich użył, opowiadając mi o tem zajściu. Polityczni przestępcy byli zdania, że miejscowe władze chciały umyślnie doprowadzić ich do buntu jawnego, ażeby mieć powód dla zastosowania kary cielesnej a przytem uwagę ministra odwrócić od niedbalstwa zarządu.

dotychczasowe ulgi i prawa, jakie przysługiwały nawet pospolitym przestępcom, zesłać ich grupami do zwykłych przestępców w Ust'Karze, Średniej Karze i Niższej i poddać t. zw. „Karcernomu położeniu.”

Więźniom tej kategorii odmawiano pieniędzy dla nich nadsyłanych, książek, przedmiotów do pisania, bielizny, tytoniu, słowem wszystkiego, co nie należy do najkonieczniejszych potrzeb. Nie mają prawa wychodzić na przechadzkę po podwórzu, pożywienie ich stanowi razowiec i woda, do czego dodawane jest czasem trochę zupy z kaszy jęczmiennej, „bałanda” jak ją nazywają więźniowie.

Gubernator Iliaszewicz i dyrektor Galkin Wra-skoj może bali się istotnie buntu politycznych przestępców, albo też udawali—dość, że uważali za konieczne wysłanie sześciu sotni kozaków do „Niższych płóczkarni złota.” Przez dziesięć dni więźniów trzymano w ciemnicy, prawdopodobnie, aby uspić ich czujność.

Nagle, pewnej nocy, kozacy otrzymali rozkaz napadu na więźniów; napad ten uzbrojonych kozaków na śpiących, bezbronnych więźniów znany jest pod nazwą: „Pogromu 11 maja.” Kilkuset kozaków pod dowództwem nadporucznika Rudienko z zatkniętymi bagnietami wpadło do cel, zrzuciło śpiących z prycz, zrewidowało w najokrutniejszy sposób, zabrało całe ich mienie, zdarło suknie i wyciągnęło na podwórze. Wszelkie prośby i błagania ofiar były daremne, odpowiadano na nie w sposób najbrutalniejszy. Odważniejsi z przestępców zrywali deski z prycz i bronili się niemi. Odpierano ich kolbami. Nazwiska najciężej dotkniętych ofiar

były: Wołoszenko, Rodiczew, Kobylański, Bobokow i Orłow.

Zbyteczne będzie przytaczać szczegóły strasznych gwałtów tu dokonanych, wystarczy powiedzieć, że 11 maja 1882 r. w godzinach przedpołudniowych, nieszczęśliwi więźniowie, krwią obłani, okrutnie poranieni, obdarci z ubrania, bielizny, i wszystkiego zdobytego za własne pieniądze, w trzech grupach, bez kawałka pożywienia i żadnej pomocy lekarskiej, wymaszerowali do więzień Ust' Kary, Średniej i Wyższej Kary, odstawiani przez kozaków, którym generał Iliaszewicz rozkazał nie żałować kolb.

Grupa idąca do Ust'Kary, — znajdował się w niej więzień jeden do taczki przykuty, — prosiła, po przejściu piętnastu wiorst o głodzie, ażeby pozwolono jej odpocząć; nietylko odmówiono, ale bijąc kolbami, popędzono dalej. Kilku więźniów, nie mających skutych rąk, zaczęło z rozpaczy obrzucać żołnierzy kamieniami; za to jednak znęcano się jeszcze bardziej i skuto tych, którzy dotąd ręce mieli wolne. Zbieci, zmordowani, głodni, późnym wieczorem doszli do Ust'Kary, gdzie ich znowu zrewidowano, a potem parami zamknięto do cel tajnych, gdzie wyczerpani padli na zimną, wilgotną podłogę i dziękowali niebu, że ten straszny dzień już się zakończył.<sup>1)</sup>

1) „Cele tajne” w więzieniach syberyjskich przeznaczone są dla najgorszego rodzaju morderców. Nam wogóle odmówiono pokazania cel tych; w jednym tylko Irkucku pulkownik Makowski zezwolił je obejrzeć. Oprócz kubła do nie-

Przestępcom, przeniesionym do innych więzień, nie wiodło się lepiej, z tą jednak różnicą, że nie byli tak ciężko bici.

Panu Galkinowi, Wraskiemu i Iliaszewiczowi udało się szczęśliwie stłumić „bunt” który wybuchnąć miał wśród śpiących więźniów, i „buntownikom” „dać porządną lekcję;” udało się im dać dowód ministrowi spraw wewnętrznych, z jaką energią wystąpili przeciw grożącemu niebezpieczeństwu. Zapanaował tedy porządek w więzieniach politycznych Kary.

Dwa miesiące spędzili skazańcy w tych celach, nie o sobie nie wiedząc, nie wiedząc co się dzieje po za kratkami więziennymi. Wstrętne powietrze, bardzo skąpe pożywienie, brak wszelkiego ruchu fizycznego, musiały fatalnie wpłynąć na ich zdrowie: skorbut zapanował epidemicznie i w krótkim czasie jedni byli bliscy śmierci, inni znów tak

czystości nie posiadały one żadnych sprzętów, nawet pryczy. Więźniowie siedzieli i spali na gołej ziemi. W Irkucku znalazłem tam ludzi, którzy wogóle jeszcze nie stawali przed sądem. Gdybym mógł urzędników więzień śledczych z Petersburga powołać na świadków, mógłbym, w razie, potrzeby przed rządem rosyjskim złożyć dowody, że nawet w tych wzorowych więzieniach Rosyi istniały „cele tajne,” gdzie nie tylko prycz nie było, ale nawet i kubła do nieczystości i ekskrementy leżały na ziemi niesprzątane. Przypuszczam, że najwyższym urzędnikom zarządu więzień ten stan wstrętny nie był wiadomy; fakt to jednak niezaprzeczony, bo niepodobna przypuszczać, żeby mnie okłamali polityczni więźniowie i urzędnicy więzienni. Cel tajnych w Karze nie widziałem, mogę jednak sądzić, że nie znajdowały się w lepszym stanie, niż te, które widziałem i opisałem.

osłabieni, że nie mogli powstać, gdy ich wezwano.

Rzeczy ich i pieniądze znajdowały się w posiadaniu zarządu więzień, który nie chciał zezwolić na kupienie najpotrzebniejszych dla chorych rzeczy. Major Kałturin, jeden z najsurowszych oficerów żandarmerji, następcą majora Potułowa, wtedy dopiero pozwolił więźniom kupić sobie za ich własne pieniądze trochę bielizny, kiedy skorbut coraz bardziej się szerzył i zaczął przybierać groźną formę.

W więzieniach kobiecych w Ust'Karze stosunki były cokolwiek lepsze. Jednakże, chociaż nie były one winne ani ucieczce więźniów, ani sztucznie wywołanemu buntowi, warunki ich również uległy pogorszeniu. Aż dotąd w drodze łaski dozwolono im nie nosić sukien więziennych, tylko ich własne. Major Kałturin uważał to za „śmieszłą czułośćkowość“ i upierał się, żeby przepisy były surowo wykonywane. Nakazano tedy kobietom zdjąć ich własne suknie, a włożyć ubranie więziennne. Niektóre były chore i wskutek tego nie mogły dokonać tej zmiany, inne znów wahały się w nadziei, że siłą ich wszak do tego nie zmuszą; stało się jednak i dozorca więzienni postąpili w sposób tak brutalny, że jedna z kobiet usiłowała popełnić samobójstwo.

W „Niższych płóczkarniach złota“ znajdowało się kilka kobiet, które dobrowolnie towarzyszyły mężom. Do czasu „pogromu 11-go maja“ mogły one, od czasu do czasu, obcować ze swymi mężami, i otrzymywały od nich czasem trochę pieniędzy, które ci sobie przez pracę po za obowiązkową oszczędzili. Teraz i tego im wzbroniono i biedne

kobiety i dzieci skazane były na głód i nędzę. Żona młodego, skazanego na ciężkie roboty porucznika Dymitra Rogaczewa, wskutek tego wpadła w taką rozpacz, że się zastrzeliła.

Dnia 6-go czerwca 1882 r. ośmiu politycznych przestępców, którzy się wydawali rządowi szczególnie niebezpiecznymi, okuto w kajdany, odesłano do Petersburga i umieszczono w więzieniu szlisselburskiem, gdzie zniknęli. Nazwiska ich: Gellis, Wołoszenko, Buczynski, Paweł Orłow, Malawski, Popow, Szedrin i Kobylański. Co się z nimi stało do dziś niewiadomo. Żonę pierwszego poznałem w kraju Zabajkalskim i opowiedziała mi, że nie pozwolono jej nawet pożegnać się z mężem; nie wie nawet, czy żyje jeszcze.

Około połowy czerwca wszystkich przestępców politycznych odstawiono do „Niższej Płóczkarni”, gdzie po siedmiu lub ośmiu zamknięto w małych celkach. Zrobiono je z poprzednich większych, przedzielając je ścianami na trzy części. Cała przestrzeń prawie zajęta była przez prycze; przestrzeń pomiędzy ścianą i pryczą nie była nawet taka, ażeby dwóch ludzi mogło stać koło siebie; nie było zupełnie miejsca dla jakiegokolwiek ruchu; nieszczęśliwi, nie mogąc mieć żadnego zajęcia ani umysłowego, ani fizycznego, cały czas musieli na pryczach siedzieć lub leżeć. Nadto stały w celach kubły z nieczystościami, które czyniły powietrze tak straszne, że można było — używam tu wyrażenia jednego z tych więźniów, który pisał o tem do mnie w liście — „oszaleć”.

Naturalnie nie pominięto próśb i błagań, ale



jedyna odpowiedź, jaką na nie dawał major Kałturin, była, żeby zachowywali się spokojnie, bo inaczej będą obici. Ażeby zaś im dać dowód, że to nie są czeze pogrożki, kazał lekarzowi zbadać więźniów, czy ich stan fizyczny jest taki, że mogliby znieść zagrożoną karę.

Nieszczęśliwe ofiary chwyciły się tedy ostatniego rozpaczliwego środka — „głodówki”. Kazali powiedzieć majorowi Kałturinowi, że wolą śmierć, niż takie życie, że wstrzymywać się będą od wszelkiego pożywienia, aż, albo umrą, albo będą lepiej traktowani.

Major decyzję tę przyjął obojętnie i odtąd więźniowie odmawiali spożywania przyniesionego jedzenia.

Dni upływały. Cisza cmentarna zalegała cele.

Głodujący więźniowie byli o wiele za słabi, by ze sobą rozmawiać, do umarłych podobni, leżeli na pryczach. Jedynymi odgłosami były pomruki kilku oszalałych; groźne kroki szyldwacha, który chodził po korytarzu w tę i tamtą stronę.

Piątego dnia nareszcie przekonał się major Kałturin, że sprawa strajku głodowego jest poważną, odwiedził więzienie i spytał przestępców, pod jakimi warunkami zaniechają „głodówki”. Odparli, że nie przyjmą prędzej żadnego pożywienia, póki nie będą wyniesione z cel kubły z ekskrementami, póki nie uzyskają zezwolenia na codzienną przechadzkę na podwórzu, na książki i użytkowanie własnych pieniędzy. Nadto musiał major uczynić zobowiązanie, że kara cielesna nie będzie stosowana. Kałturin odparł, że o spełnieniu groźby batów

nie myślał na seryo, żeby zaprzestali „głódówki”, a potem rozważy, które z ich warunków dadzą się spełnić. Tem jednakże więźniowie nie chcieli się zadowolnić i głodzili się dalej. Dziesiątego dnia stan ich był bardzo krytyczny. Siły ich opuszczały, kilku już nawet zdawało się bliskich śmierci. Minister spraw wewnętrznych, hrabia Dymitr Tołstoj, który zawiadomiony był o całym zajściu, dał zlecenie, aby go zawiadamiać o każdej zmianie w stanie chorych.

Nie zdołano jednak nigdy zrozumieć, dlaczego rząd, który tak bezwzględnie obchodzi się z więźniami, nie pozwala im umrzeć spokojnie i w ten sposób się ich nie pozbywa. Ilekroć polityczni przestępcy uciekali się do tego środka i nie ustępowali — ustępował rząd. Jest to jedna z tych niekonsekwencji, w które tak obfitują prawa rosyjskie. Tu skrupuły, a najokrutniejsza bezwzględność; tu kara śmierci wykreślona z księgi prawa karnego, tam znów liczne osoby stanu przez sąd wojenny na śmierć skazane, tu usuwają karę knuta, by zamienić ją na „pletnię” — instrument, którego sto uderzeń — zdaniem jednego z oficerów rosyjskich — o śmierć przyprowadza. Nie chce on, aby polityczni więźniowie zagłodzili się na śmierć z własnej woli, ale nie waha się ani chwili doprowadzać do powolnego konania więźniów Szliselburskiej twierdzy. Mojem zdaniem, byłoby o wiele bardziej po ludzku, kazać schwytyanych rozstrzelać, aniżeli na śmierć zadzierać.

Codziennie przychodził do cel lekarz, aby mierzyć temperaturę i badać puls, głodzących się. W trzynastym dniu strajku przywołał major Kałtu-

rin żony więźniów i oznajmił, że otrzymają pozwolenie na odwiedzenie mężów — po raz pierwszy od dwóch miesięcy — jednakże muszą namówić ich znów do jedzenia. Zgodziły się i wpuszczono ich do więzienia. Udał się też i major, i dał słowo honoru, że uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, aby spełnić ich życzenia.

Dzięki temu przyrzeczeniu, a więcej jeszcze prośbom płaczących zdesperowanych kobiet, udało się złamać opór i po trzynastodniowym poście zakończył się pierwszy i najuporniejszy strajk głodowy politycznych przestępców w Karze.

W tym czasie, pewna młoda kobieta, skazana w Odesie za sprawy rewolucyjne na ciężkie roboty, odbywszy już swoją karę, zesłaną została do Ak-szy, małej wioski w kraju Zabajkalskim, niepodal granicy Mongolii. Widziała całą ohydę brutalności przy „tłumieniu buntu” w Karze, sama doznała pohańbienia swej czci i wstydu, które inne kobiety doprowadziły do samobójstwa i strajk głodowy z całą jego nędzą był jej dobrze znany. Oburzona temi wypadkami, postanowiła gubernatora kraju Zabajkalskiego, generała Iliaszewicza, zamordować i w ten sposób zwrócić uwagę na wszystkie okrucieństwa, które za jego rządów, a także i przeważnie z jego wiedzą, popełniano w Karze. Widziała dobrze, że w żadnych okolicznościach niepodobna jej będzie uratować siebie; wiedziała, że straci życie swoje i prawdopodobnie jeszcze nie narodzonego dziecka; to jednak, co w Karze widziała i co odczuła, doprowadziło ją do postanowienia, aby z poświęceniem własnego życia, spróbować zabić gubernatora.

Wkrótce po przybyciu do Akszy potajemnie uciekła z wyznaczonego jej miejsca pobytu, najęła konie i pojechała do Czyty, gdzie mieszkał gubernator. Rewolwer kupiła od jednego z osiedleńców. Po drodze zaarrestowano ją, musiała jednak namówić wiejskiego policyanta, żeby ją odstawił do Czyty i tam oddał ją w ręce osobiście jej znanego isprawnika. Temu zaś wytłómaczyła, że wyjazd z Akszy wcale nie był ucieczką, tylko, że chciała mówić z gubernatorem. Istotnie, udało się jej i jego namówić, że ją do gubernatora zaprowadził. Tu kazał jej zatrzymać się w poczekalni, ażeby zameldować generałowi.

— Czy zrewidowałeś pan kobietę? — spytał niedowierzająco Iliaszewicz.

— Nie pomyślałem o tem—odparł isprawnik.

— Wszystko jedno! Co mi może uczynić kobieta—rzekł generał i udał się do pokoju, gdzie czekała na niego, z ukrytym w chustce do nosa rewolwerem.

Gdy się zbliżył, strzeliła z okrzykiem:—To za 11 maja!— Strzał utkwił w płucach. Nie był wprawdzie śmiertelny, ale generał upadł i wyniesiono go. Isprawnik kazał kobietę okuć i odstawić do więzienia. Osadzono ją w zimnej, brudnej „celi tajnej”, którą mi okręgowy budowniczy kraju Zabajkalskiego tak określił: „Nie dość długa, by się wyciągnąć, za niska, aby stanąć”.

Zabrano jej ubranie i bieliznę, musiała włożyć na siebie brudną, pełną robactwa suknię. Trzy miesiące leżała w strasznym więzieniu na zimnej podłodze, a kiedy skutkiem wszelkiego rodzaju umar-

twień zachorowała i prosiła o trochę słomy do leżenia, urzędnik policyjny Mielnikow odpowiedział, że dla niej niema słomy. Prawdopodobnie umarłaby z głodu, gdyby pospolici zwykli przestępcy nie byli jej potajemnie dawali jedzenia.

Sąd wojenny skazał ją na śmierć przez powieszenie. Cały miesiąc czekała na spełnienie wyroku, przez ten czas rozważała, czy nie należy ujawnić swego stanu odmiennego. Wiedziała, że jest w zwyczaju w takich wypadkach odkładać egzekucję, czasem nawet karę śmierci zamieniają na dożywotnie więzienie. Z drugiej jednak strony życie było jej ciężarem, a kiedy po spełnionym wyroku stan jej stanie się głośnym, zwiększy to jeszcze oburzenie przeciw rządowi. Najwięcej ją jednak dręczyła myśl, że zostanie morderczynią własnego płodu. Jenakże zdecydowała się tajemnicy nie ujawniać i poddać się wyrokowi. Ten jednakże do skutku nie doszedł, ponieważ w styczniu 1883 r. została przez rząd ulaskawiona i zamieniono jej karę na dożywotnie ciężkie roboty, nie nie wiedząc o jej stanie poważnym.

Z wiarogodnego źródła zakomunikowano mi, że na to złagodzenie kary wpłynął sam gubernator. Co go do takiej wspaniałomyślności skłoniło — nie wiem; może obudziło się w nim sumienie, może odczuł litość, a może tylko chciał okazać swoją szlachetność, aby w ten sposób osłabić wrażenie, jakie wywoływały wieści o jego okrutnem obchodzeniu się z więźniami w okręgu Karskim.

Wysłano ją bez ciepłego ubrania, w czasie najsilniejszego mrozu, prawdopodobnie byłaby zna-

rzła po drodze, gdyby idący z nią zesłańcy nie byli jej oddawali własnych ubrań. Gdy dowiedziono ją do Irkucka, była tak bezsilna, że musiano ją znieść z wozu; tu też w więzieniu urodziła nieżywe dziecko. Podczas naszej obecności na Syberji żyła jeszcze; później dowiedziałem się o niej, że wkrótce umarła.

Opowiadanie moje o powyższych zdarzeniach oparte jest na zeznaniach różnych przestępców politycznych i na trzech dokumentach piśmiennych, pochodzących z różnych stron i opisujących ucieczkę więźniów, „pogrom,” i strajk głodowy. Usiłowanie morderstwa i życie tej kobiety było opisane w listach, które później pisała; zaś opis wrażeń jej, jakich doznawała w oczekiwaniu kary śmierci pochodzi od pewnej kobiety, której sama o tem opowiadała.

Wogóle historia ta znana była w całej Syberji, a mnie opowiadano ją w sześciu różnych miejscowościach. Usiłowałem także dowiedzieć się czegoś o tem od urzędników, ale napróżno. Jedni okazywali od razu taką niechęć do wyjawienia cze-  
gokolwiek, że po kilku słowach kierowałem rozmowę na inny temat; inni zaś czynili wszelkie usiłowania, ażeby mnie wprowadzić na błędne tory.

Pewien młody lekarz więzienny z Irkucka był tak przerażony zapytaniem mojem o zamach na gubernatora, że uwolnił się możliwie prędko od mego towarzystwa i nie oddał mi wizyty.

Isprawnik z Nereczyńska, który sprowadzał jednego z wyżej wspomnianych uciekinierów, określił mi politycznych przestępców, jako „wyrzutków i lo-

buzów” nie zasługujących ani na litość, ani na szacunek, jako „popowiczów, lub wypędzonych ze szkoły studentów.“

Podpułkownik Nowikow, który trzy lata, albo jeszcze dłużej, był dowódcą pułku kozackiego w Karze, wyraził się w rozmowie ze mną, że polityczni przestępcy, to *Malcziszki*, co można przetłumaczyć na „niedowarzeńcy,“ ludzie bez celów i bez przekonań. Z wielu, których znał, trzech zaledwie było jako tako wychowanych.

Usiłowanie zabójstwa nazwał „szalonym wybrykiem” którego dopuściła się owa kobieta „sama nie wiedząc w jakim celu.”

Wybierać między temi oderwanemi uwagami i opowiadaniem przestępców dla wyrobienia sobie jasnego zdania—nie było trudno. Jeśli przedstawienie moje tych wypadków nie jest zupełnie bezstronne—to już nie moja wina. Zmuszony byłem szukać wyjaśnień i u drugiej strony, ale nie chciało ich udzielić, lub nie miano możności, albo czyniono to w sposób, wykluczający wszelki cień prawdy.

Jak bardzo wyjaśnienia urzędników o charakterze politycznych zesłańców były dalekimi od prawdy, dowiodą tego tylko krótkie wiadomości o życiu kilku skazańców, którzy we wspomnianych wypadkach brali żywy udział, albo których nazwiska są w związku z późniejszą historią więzień w Karze.

Do najwybitniejszych postaci wśród zesłańców należała Anna Paulina Korba, córka szlachcica, Pawła Mengarta z prowincyi twerskiej, nieopodal Moskwy, urodzona w r. 1849.

Pod kierunkiem matki, kobiety inteligentnej i pobożnej, otrzymała ona staranne wykształcenie i wyszła za mąż w 18 roku życia, za zamieszkałego w Rosyi Szwajcara Wiktora Korbę, człowieka za-  
możnego, który cieszył się, że jego młoda, piękna żona, w krótkim czasie zaczęła odgrywać wybitną rolę w towarzystwie.

Na długo jednak powodzenie światowe nie mogło wystarczyć inteligentnej kobiecie i w r. 1869, zaledwie w 20 roku życia, wstąpiła ona na założone świeżo w Petersburgu kursa wyższe dla młodych szlachcianek z zamiarem studyowania potem na uniwersytecie w Zurychu lub Paryżu. Tego jednak musiała się wyrzec, gdyż mąż jej w rok później zbankrutował.

Pojechała z nim do prowincjonalnego miasta, Mińska, gdzie znalazł zajęcie. Tutaj założyła związek popierania oświaty ludowej i wspierania ubogich studentów. Później wojna rosyjsko-turecka dała jej nową sposobność do uczynków pożytecznych i pięknych. Pielęgnowała powracających z Bułgarii rannych i nawet jako siostra miłosierdzia Czerwonego Krzyża udała się na plac bitwy. Kto widział obrazy malarza rosyjskiego Wereszczagina może sobie wyobrazić, co ona tam przeżyła i przecierpiała, a to, co przeżyła, wywarło wpływ stanowczy na całe jej przyszłe życie, ovladnęło ją uczucie miłości i czci dla chłopaka rosyjskiego, który na swoim pochylonym karku dźwigać musi cały ciężar państwa, który krew swoją za nie przelewa, a wzamian za to oszukują go, okradają i uci-  
skają.



Postanowiła oddać życie swoje poświęcić na polepszenie doli tego stanu uciśnionego.

Powróciwszy po wojnie do ojczyzny zachorowała na tyfus, którego się nabawiła w przepelnionych chorymi szpitalach; wyzdrowiała jednak i postanowiła zamiary swoje urzeczywistnić. Tutaj jednak na każdym kroku spotykała przeszkody ze strony policyi, tak, że wyrobiło się w niej przekonanie, że poprawa bytu ludu możliwa jest tylko po zburzeniu istniejącego systemu rządowego. Przyłączyła się do partii „Narodnaja Wola” i brała czynny udział we wszystkich usiłowaniach, jakie czyniono w latach 1879—1882, by obalić w Rosyi absolutyzm i na to miejsce ustanowić konstytucyjny system rządu.

Dnia 5 czerwca aresztowano ją, osadzono w tortecy Petropawłowskiej i w kilka miesięcy później oskarżoną o należenie do terrorystów, stawiono przed sąd.

Zapytana co ma na swoje usprawiedliwienie, odpowiedziała, mniej więcej, co następuje:

— Nie uważam się za winną przestępstwa, o jakie jestem oskarżona, jakkolwiek nie zapieram się, że należę do partii rewolucyjnej „Narodnaja Wola” i podzielam jej przekonania. Związku, któryby dążył gwałtownymi środkami do osiągnięcia tego celu nie znam i nie sądzę aby istniał. Być może, iż utworzy się on później, gdy się ruch rewolucyjny rozszerzy, ale wówczas napewno należeć do niego nie będę. Gdyby partya „Narodnoj Woli” została terrorystyczną, stałoby się to niewątpliwie nie dlatego, żeby miała ku temu skłonności, ale

dlatego iż musiałaby przyjść do przekonania, iż tylko w ten sposób może osiągnąć cel, który jej wskazuje historyczny rozwój życia narodu rosyjskiego.

Smutne, wymowne słowa, które każą się bardzo lękać o ciężką przyszłość!

I mówiła dalej:

— Panowie senatorzy! Znacie prawa zasadnicze państwa rosyjskiego, wiecie, że nikt nie jest uprawniony do dążenia do zmian w istniejącej formie rządu. Nawet przesyłanie zbiorowych próśb do tronu jest wzbronione. Ale jednak społeczeństwo rosyjskie rozwija się, stosunki<sup>1</sup> wikłają się z dniem każdym, i wkrótce może nadejść chwila, kiedy naród rosyjski zerwie gwałtownie zapory jakie go gniotą.

— To jest pani zdanie osobiste—przerwał jej prezydujący.

— Zadaniem partii „Narodnoj woli”—mówiła dalej pani Korba—jest zapory te stopniowo znosić i dać ludowi rosyjskiemu zdolność i samodzielność. W jaki sposób to nastąpi, zależnem jest od samego rządu. Nie upieramy się zupełnie przy użyciu broni teroru. Ręka, któraby się z groźbą podniosła, chętnie opadnie, jeśli rząd chwyci się innego systemu. Posiadamy dosyć patryotycznego zaparcia się siebie, ażeby zapomnieć o tych wszystkich bolesnych ranach, jakie nam zadawano; ale musielibyśmy zdradzić siebie samych i naród rosyjski, gdybyśmy broń złożyli, zanim naród ten nie zdobędzie wolności i dobrobytu. Jako dowód, że partya nasza chce pokoju, proszę o przeczytanie listu, który wy-

stosowała dnia 1-go marca do Cesarza Aleksandra III-go <sup>1)</sup>). Z tego przekonacie się panowie, że dążymy tylko do reform, ale reform gruntownych i uczciwie pojętych.

Słowa te, oczywiście, nie mogły przemawiać za ułaskawieniem oskarżonej, czego też się i nie spodziewała. Wyrok orzekł: 20 lat robót ciężkich, pozbawienie wszelkich praw i przywilejów, i po upływie kary dożywotne osiedlenie na Syberyi.

Według ostatnich wiadomości, otrzymanych z obwodu Karskiego, żyła ona jeszcze, choć fizycznie była tak wyczerpana, że spodziewano się, iż wkrótce życie zakończy.

Z mężczyzn, którzy przebywali, jako polityczni przestępcy w Karze, interesował mnie najbardziej Hipolit Muiszkin.

W r. 1864 znany pisarz rosyjski, Czernyszewskij, za powieść „Co się ma stać?” (przełożoną na język angielski), jako rewolucjonista skazany został na zesłanie na Syberję. Z początku siedział on w więzieniu w Irkucku, następnie przeniesiono go do Wilujska, małego miasteczka w prowincyi Jakuckiej, gdzie długo mieszkał pod silnym dozorem policji.

Do zamiarów partyi rewolucyjnej z r. 1870 należał plan uwolnienia Czernyszewskiego, dopomożenia mu do ucieczki za granicę, gdzie działalność swoją mógłby spokojnie dalej prowadzić.

Wszystkie próby jednak nie udały się i zamiar uważano za niepodobny do spełnienia.

W roku 1876 Hipolit Muiszkin, wówczas stu-

<sup>1)</sup> Dzień zabójstwa Cesarza Aleksandra II.

dent politechniki w Petersburgu plan podjął na nowo i postanowił, przebrany za pułkownika żandarmerji, pojechać do Wilijska i tam powiedzieć isprawnikom, iż ma zlecenie przewieźć Czernyszewskiego do Petersburga, ażeby go zamknięto w Szlisselburgu. Nic w tem nie byłoby dziwnego, często się bowiem zdarzało, że przestępcy polityczni uznani za niebezpiecznych z Syberyi sprowadzani byli do której z fortec rosyjskich. Miał tedy Muiszkin nadzieję, że się plan jego powiedzie. Przedewszystkim więc udał się do Irkucka, gdzie po kilkumiesięcznym pobycie zaciągnął się do korpusu żandarmów i wkrótce został podoficerem. Na tem stanowisku potrafił on zaopatrzyć się w odpowiednie papiery, z rozkazem dostawienia zesłańca Czernyszewskiego do Petersburga. Podpis i pieczęć zręcznie podrobił, zdobył sobie mundur kapitana żandarmerji i opuścił służbę pod pozorem, że musi, skutkiem otrzymanych wiadomości, udać się do Rosyi Europejskiej.

Wówczas pojechał prosto do Wilijska. Zręczność jego, obejście, wymowa sprawiły, że isprawnik w pierwszej chwili nie wątpił o prawdziwości jego misji, która byłaby się może udała, gdyby nie była się potknęła o inną okoliczność, a mianowicie, że nie miał ze sobą eskorty, a na Syberyi oficerowie przeważnie mają ją przy sobie, zwłaszcza, jeśli idzie o przewiezienie niebezpiecznego przestępcy politycznego. To obudziło w isprawniku podejrzenie i nazajutrz rano, przy śniadaniu oświadczył domniemanemu kapitanowi żandarmerji, że nie może bez zezwolenia gubernatora Czerniejewa z Jakucka takiego wybitnego przestępcy, jak Czernyszewski, wydać

a zatem w pierw wysła posłańca z pismem Muiszki-  
na, a potem postąpi według wskazówek nadesłanych.

Muiszkin nie stracił przytomności wobec tak  
niespodziewanego oświadczenia:

— Nie sędzę wprawdzie — zauważył — ażeby  
wyrażny rozkaz policyi cesarskiej potrzebował jesz-  
cze potwierdzenia gubernatora; skoro pan uważasz  
to jednak za konieczne, w takim razie udam się  
sam do niego i przywiozę jego zezwolenie.

Isprawnik dał mu dwóch kozaków, którzy otrzy-  
mali polecenie, aby mieć na oku kapitana. Następ-  
nie isprawnik przesłał list, w którym wyraził swoje  
wątpliwości przez innego kozaka, który miał stanąć  
u gubernatora jeszcze przed Muiszkinem. Do-  
wiedział się on o tem z rozmowy kozaków między  
sobą i przekonał się, że wszystkie plany zostały  
udaremnione. Skorzystał z pierwszej sposobności,  
aby uciec do lasu; kozacy ścigali go, ale udało mu  
się zbiedz, zraniwszy jednego kulą rewolwerową.

Przez tydzień błąkał się po gęstym lesie nad  
brzegami Leny, aż wreszcie, do ostatka wyczerpa-  
nego z głodu i zimna, schwymano. Parę miesięcy,  
przesiedział w więzieniu w Irkucku, a potem prze-  
wieziono go do Petersburga do fortecy Petropawłow-  
skiej. Tam trzy lata blisko czekał na swój wyrok.

Dodać też muszę, że wiadomości te mam od  
zesłańca, który był jego sąsiadem w celi. Opowia-  
dał mi on też, że Muiszkin miewał częste napady  
szaleństwa z gorączki i zdenerwowania. Słyszał  
często jego krzyki, gdy kładziono nań kaftan, lub  
przywiązywano do łożka.

W październiku 1878 stawiony został przed sąd

wraz z innymi. Wszyscy żądali jawnego postępowania i stenografów; odmówiono im jednego i drugiego więc zrzekli się obrony. Gdy Muiszkińska jeszcze przed zapadnięciem wyroku spytano, czy ma co do nadmienienia, wygłosił pełne zapалу przemówienie, w którym potępiał tajną procedurę karną i zauważył, że ani on, ani towarzysze jego nie oczekują wyroku uniewinniającego, ale wierzą, że mieli prawo żądać jawnego sądu sprawy.

W ciągu tej mowy dotknął silnie rząd, za co prezydujący odebrał mu głos; a kiedy pomimo to chciał mówić jeszcze, został przez żandarmów wyprowadzony. Odchodząc zawołał jeszcze:

— Taki sąd, to gorszy od domu publicznego. Tam sprzedaje się tylko ciało, a tu cześć, prawo i sprawiedliwość!

Skazany został na dziesięcioletnie ciężkie roboty, pozbawienie wszystkich praw i wkrótce odstawiony do więzienia w Charkowie.

Nie mam dość miejsca, by opisać najkrócej choćby wszystkie cierpienia, jakie znosić musieli przestępcy polityczni w tem więzieniu. Sami to opisali w piśmie, które krążyło w tajemnicy i nosiło szczególny tytuł: *Ostatnie słowa nad trumną Aleksandra II*. Być może iż później kiedy będę miał jeszcze sposobność ogłosić drukiem pismo to po angielsku, tutaj tyle tylko powiem, że znam nazwiska sześciu przestępców politycznych, którzy w czasie krótkiego swego pobytu w więzieniu charkowskim dostali pomieszania zmysłów. Muiszkińska zamknięto w małej celi na niższym piętrze, gdzie siedział niegdyś książę Cziczianow. Ożywiony nadzieją i od-

wagę, obmyślać zaczął on natychmiast plany ucieczki, i zanim skończył się rok jego uwięzienia za pomocą deseczki podkopał zwolna mur więzienny a ziemię wykopaną potrafił w celi niepostrzeżenie ukryć.

Wspomniany poprzednik jego miał kilka wielkich map, które zostawiono niepostrzeżenie w celi. Muiszkin odłączył papier od płótna i przygotował sobie ubranie, które miał włożyć przy ucieczce. Poczyniwszy jeszcze inne przygotowania, czekał sposobności odpowiedniej. Gdy uważał, że już się znalazła, właśnie w chwili, kiedy chciał wślizgnąć się do otworu, wszedł do celi dozorca. Na pryczy leżała wypchana figura w sukniach więziennych. Urzędnik odrazu spostrzegł podejszcie, celę przeszukano i Muiszkiną z dziury wydobyto. Przeniesiono go do innej celi, z której ucieczka wydała się niepodobieństwem. Tu pozostawał parę miesięcy, wśród mąk, które go czyniły blizkim utraty zmysłów. Ażeby położyć koniec wszystkiemu, postanowił uczynić coś takiego, za co musiał być bezwątpienia rozstrzelany.

Poprosił w niedzielę o pozwolenie pójścia do cerkwi więziennej i otrzymał je. Tutaj zbliżył się do gubernatora i gdy ten całował krzyż z ręki popa, uderzył go w twarz. W warunkach normalnych za czyn ten byłby niewątpliwie rozstrzelany, wówczas jednak zdarzała się w więzieniach taka niezwykła ilość wypadków szaleństwa, że minister spraw wewnętrznych czuł się zmuszonym wysłać petersburskiego profesora Dobrosławina na zbadanie tej sprawy do Charkowa.

Profesor skonstatował, że więzienie całkiem

się nie nadaje dla trzymywania w niem ludzi, że liczne wypadki śmierci i obłąkania są zupełnie zrozumiałe i zaproponował, aby przynajmniej dla przestępców politycznych inne przeznaczono pomieszczenia. Zdecydowano więc, że Muiszkin czyn ten popełnił w przystępie szaleństwa i sprawę zatarto. Wkrótce też on i inni przestępcy zesłani zostali do kopalni złota nad Karą.

Podczas transportu jeden z nich, Leon<sup>f</sup> Domokowski umarł w Irkucku. Pozwolono im być obecnym na wyprowadzeniu zwłok z kościoła więziennego i Muiszkin miał mowę pogrzebową. Wyślawiał charakter jego i zacytował wiersz poety rosyjskiego Niekrasowa, tej, mniej więcej, treści: „Z prochu tego bohatera i innych jemu podobnych wyrosnąć ma drzewo wolności Rosyi.”

Obecny policyant kazał mu milczeć i zamknął go w celi. Za takie zaś „rewolucyjne” odezwanie w świętych murach domu Bożego, wobec „obrazów świętych”, skazano go jeszcze na piętnaście lat ciężkich robót.

Niektórzy towarzysze jego, którzy opowiadali mi o nim różne szczegóły, wysławiali go jako świetnego mówcę; dar swój jednak miał sposobność dwa razy tylko ujawnić; raz odpokutował za to karą dziesięciu, drugi raz piętnastu lat ciężkich robót. On sam twierdził, że jednego tylko w życiu żałuje: swojej mowy nad zwłokami towarzysza Domokowskiego. Ludzie niczego się z niej nie dowiedzieli, była bezcelowa i przedłużyła mu karę; gdyby ją nawet przeżył, będzie już za słaby i za stary, ażeby móżdż służyć jeszcze sprawie wolności Rosyi.



Muiszkin był jednym z pierwszych, którzy w kwietniu 1882 r. z więzienia w Karze uciekli, co już opisywałem i został we Władywostoku znów ujęty. Następnego roku razem z innymi „niebezpiecznymi” przestępcami przeniesiony został znów do Szlisselburga. Tutaj w r. 1885 zastrzelono go, bo targnął się na życie lekarza więziennego.

Trzy miesiące, mniej więcej, przed wspomnianą ucieczką schwytyanych z Kary, uciekły podczas transportu do Kary dwie zamężne kobiety z więzienia w Irkucku. W mieście jeszcze schwymano je, dostawiono, a następnie poddano zwykłej rewizji, dokonywanej przez mężczyzn, którzy jednak w stosunku do kobiet okazywali pewne względy.

Tym razem rewizye miał odbyć adjutant general-gubernatora, pułkownik Sołowjew, człowiek, nie cieszący się zbyt dobrą opinią. Przedewszystkiem kobiety obrzucił obelgami, a następnie kazał je w swojej obecności zupełnie rozebrać. Potem drwił z tego wobec skazanych i oświadczył im:

— Wasze żony nie są bardzo ładnie zbudowane.

Jeden z przestępców politycznych, nauczyciel Szedrin, oburzony, uderzył pułkownika w twarz i krzyknął mu, że jest nędznym tchórzem. Obelgę rzuconą w twarz oficerowi a także i próbę ucieczki zaraz po przybyciu do Kary, odpokutował srodze, przykuto go bowiem do taczki.

W czerwcu w r. 1882 jeszcze z kilku innymi towarzyszami niedoli odstawiono go do Szlisselburga; podczas transportu szedł również przy taczce i dopiero, gdy skutkiem złych dróg, poraniony został silnie przez taczki i kajdany, uwolniono go od nich.

Po strajku głodowym w lecie r. 1882 życie więźniów cokolwiek się polepszyło. Zaczęli znów otrzymywać książki, mogli pieniądze własne wydawać na najpotrzebniejsze rzeczy i codziennie zaczerpnąć powietrza na podwórzu więziennem. Ale warunki zdrowotne były ciągle takie same, nad chorymi nie miano najmniejszej pieczy, a śmiertelność niepospolicie wzrastała<sup>1)</sup>.

Od czasu usunięcia się pułkownika Kononowicza w r. 1881, aż do mianowania kapitana Nikolina w r. 1885, naczelne dowództwo ulegało siedmiokrotnym zmianom, a skutkiem tego i zarząd więzień ciągle był inny. Dziś więźniom pozwolono mieć książki, pieniądze, pisać listy, spacerować po podwórzu; nazajutrz odejmowano im to wszystko. W r. 1884 zniesiono ściany, któremi przed dwoma laty porozłączano cele, a w r. 1885 przywrócono znowu „wolną komendę.”

Każdy nowy naczelnik wydawał nowe zarządzenia, samowola i kaprys zastępowały miejsce porządku prawnego. Nazwiska naczelników w chro-

<sup>1)</sup> Dokładnego spisu nazwisk politycznych przestępców, którzy w latach 1879 do 1886 w Karze umarli, skończyli samobójstwem lub szaleństwem, nie mogłem otrzymać; następujące jednak wypadki były mi wiadome: Czutinow, Kriwoszejn, Zukow, Popeko, pani Lissowskaja, Tikonow, Bogaczew, doktor Wejmar, panna Armfeldt i pani Kutikowskaja—wszyscy z wyjątkiem jednego, zmarli na suchoty. Dalej: Siemionowski—zastrelił się; Rodin—otrul się; Uspienski—powiesił się. Dostali pomieszania zmysłów: Matwiejewicz, Zubkowski, Pozen, pani Kawalskaja; ostatnia jednakże wyzdrowiała. Podczas pobytu naszego w obwodzie Karskim z jedenastu kobiet, znajdujących się w więzieniu, osiem było chorych.

nologicznym porządku są: Kononowicz, Potułow, Kałturin, Burlaj, Szulin, Manajew, Burlaj (powtórnie) i Nikolin.

Na największą pochwałę, zdaniem przestępców, zasługiwał Burlaj. Kałturin był szorstki, Szubin bez charakteru, Manajew pijak, a nadto i złodziej, który niszczył listy, przychodzące do zesłańców i kradł załączone przy nich pieniądze, razem około 1900 rubli. Wszyscy wspomniani byli oficerami żandarmeryi z Irkucka. Dnia 16-go stycznia 1884 r. więzienia zostały oddane pod bezpośrednie kierownictwo władz policyjnych i przyjechał kapitan Nikolin z Petersburga.

Przepowiednie pułkownika Kononowicza sprawdziły się. Rząd zmusił człowieka uczciwego i humanitarnego do usunięcia się i przysyłał jednego po drugim pół tuzina złodziei i okrutników, a skutkiem tego była jedna tragedia za drugą. Panują jeszcze te same zasady i nie może z tego nic innego wynikać jak: „kto wiatr sieje, zbierze burzę”.

Dnia 12 listopada powracaliśmy z westchnieniem ulgi do domu. Gdyśmy z majorem Potułowem wyjeżdżali z tego grobowo smutnego miejsca, „Niższej Płóczkarni”, ujrzelśmy dwóch więźniów politycznych, którzy w pewnem oddaleniu szli ku więzieniu. Poznali nas i, gdyśmy koło nich byli, zdjęli czapki i ukłonili się. Było to ostatnie, milczące pożegnanie podróżnych, o których współczuciu szczerem wiedzieli, było to i nasze pożegnanie z kopalniami Kary.

Przenocowaliśmy w domu dozorey więziennego z Ust' Kary i nazajutrz dosiedliśmy koni, aby

się udać do Sretińska. Gdyśmy siedzieli już w siodłach, major Potulow napelnił trzy szklanki winem Krymskiem i podał nam ze słowami:

— Za szczęśliwy powrót do ojczyzny!

Wychyliliśmy szklanki, podziękowali za gościnność, obiecali zawiadomić telegraficznie o naszym przybyciu do Sretińska i pojechali dalej.

Okolice Kary, wzdłuż Szilki są bezludne; w pewnym tylko oddaleniu od rzeki obozowało w namiotach nawpół dzikie plemię koczownicze, przez Rosyan zwane „Orozani”. Uznaje ono panowanie Rosyi; płaci podatki, wyznania jest chrześcijańskiego, ale zrzadka obcuje z Rosyanami, najwyżej kiedy chcą futra zamienić na noże, kotły lub tytoń przestępują progi mieszkań Europejczyków.

Podczas naszej dwudniowej jazdy wśród leśnej, górskiej okolicy cierpieliśmy srodze od zimna i głodu. Trzeciego dnia dotarliśmy do Boti, wioski, z kąd pochodziły nasze konie. Przeważna część wieśniaków zajęta była młocką zboża na lodzie. Cieszyli się z naszego powrotu, przypuszczali bowiem, że się nam zdarzył jaki wypadek.

Wzruszenia i różne przeszkody tak mnie wyczerpały, że ledwie się w siodle mogłem utrzymać; na nasze szczęście jednak rzeka od tego miejsca była zamarznięta, i mogliśmy dalej odbywać podróż sankami po lodzie.

W nocy, 16-go listopada, zmęczeni, przemarzli i wygłodzeni stanęliśmy w Sretińsku, gdzie w chacie wieśniaka, u którego zostawiliśmy nasze rzeczy, czekało nas gościnne przyjęcie.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.







